

# BIUSZCZA.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



Ś. p. ARCYBISKUP-METROPOLITA Ks. SZYMON KOZŁOWSKI.

Ś. P. ARCYBISKUP-METROPOLITA

## Ks. Szymon Kozłowski.

**W**ieść o zgonie ks. Szymona Kozłowskiego, arcy-biskupa metropolity Mohylowskiego, który zmarł 26 listopada r. b., wywołała żal głęboki, a szczery. Zmarły dostojnik, zwierzchnik wszystkich kościołów katolickich w Cesarstwie, odznaczał się wielkimi przymiotami umysłu i serca, które zwracały ku niemu uczucia wszystkich.

Urodzony w dniu 5 listopada 1819 roku w gub. Wileńskiej, przyszedł metropolita Mohylowski pierwsze nauki pobierał w szkole powiatowej w Kiejdanach, a następnie kształcił się w seminarjum wileńskim. Rok 1841 zastaje go w rzędzie słuchaczy Akademji Duchownej. Ukończył ją już w Petersburgu w 1845 roku, otrzymawszy po świetnie złożonym egzaminie, stopień Magistra Teologii świętej. W tym że roku objął posadę nauczyciela religji w gimnazjum kowieńskim, lecz po roku niespełna został powołany na wielce zaszczytne ze względu na jego wiek młody stanowisko profesora seminarjum wileńskiego, gdzie wykładał przez dwa lata Teologję Moralną i Homiletykę. W 1848 roku prowadzi zamiast ks. Borowskiego, powołanego na biskupa Łucko-Żytomierskiego, wykład historii kościoła i prawa kanonicznego w Akademji Duchownej Petersburskiej. Trzy lata był ś. p. ks. Kozłowski profesorem Akademji. W roku 1851 biskup wileński ks. Żyliński powierzył mu ster seminarjum miejscowego, czyniąc go rektorem, którą to godność piastował do roku 1864, z wielką korzyścią dla wychowanców seminarjum. W latach 1852—1866 zaszczycony został ś. p. ks. biskup Kozłowski godnościami członka kapituły Wileńskiej, prałata konsystorza, wreszcie assessora i członka kolegium duchownego w Petersburgu. W roku 1871, zarządów arcybiskupa-metropolity ks. Fijałkowskiego, został zatwierdzony na stanowisku rektora Akademji Duchownej, w której ongi nauki pobierał. W roku 1883 Jego Świętobliwość Leon XIII prekonizował go na biskupa Łucko-Żytomierskiego. Na stanowisku tem znajdował się przez lat ośm, jednając sobie zaletami umysłu i serca wszystkich, którzy mieli sposobność poznać go lub chociaż o nim słyszeć. W roku 1891 został arcybiskupem Mohylowskim, metropolitą wszystkich kościołów katolickich w Cesarstwie i na tem stanowisku zastała go śmierć nieubłagana, gdy liczył lat 80 zasłużonego żywota.

Zmarły dostojnik kościoła przez całe swe życie, na różnych stanowiskach, pełnił służbę Bożą jednakowo gorliwie z całym oddaniem się umiłowanemu zawodowi pasterza dusz ludzkich. Nieśkazitelnym charakter, słodycz anielska, umysł głęboki były źródłem, z kąd czerpał moc do długiej

pracy owocnej i pięknej. Oprócz wypełniania obowiązków, związanych z pieczę nad powierzoną mu olbrzymią archidiecezją, ś. p. ks. Szymon Kozłowski znajdował jeszcze chwile swobodne na pracę, na niwie piśmienniczo-naukowej. Jego „Historja Święta dla użytku młodzieży” uważa się dotąd za jeden z najlepszych podręczników szkolnych. Oprócz tego ks. biskup Kozłowski napisał: „Wielki i święty tydzień”, „Elementarz polski”, „Służbę Bożą, nabożeństwo domowe i kościelne”, „Kazania święteczne”, „Rok kościelny”, wreszcie przełożył komentarze Menochiusza do Biblii.

Doczekał się osmdziesiątej rocznicy swych urodzin; przekonał się w dniu tym, jaką zdobył sobie wdzięczność i miłość całego społeczeństwa i po pracowicie spędzonym żywocie odszedł na spokój wieczny 26 listopada r. b. w Petersburgu.

Została po nim pamięć, przykład pracy wielkiej, ciągłej, niezwykle płodnej a cichej. Biskup metropolita Mohylowski ks. Szymon Kozłowski, jako pracownik w winnicy Pańskiej, nie zmarnował ani jednej godziny żywota swego.

Niechaj spoczywa w pokoju!

Piotr Chmielowski.

## NASZA KRYTYKA LITERACKA

W WIEKU XIX-y m.

(Dalszy ciąg).

W ocenie obszerniejszych utworów zawsze podawał Tyszyński treść ich mniej lub więcej szczegółową, ażeby okazać, jak ją zrozumiał; do streszczeń wplatał znamienne wyjątki, ażeby dać poznać czytelnikom, co go szczególnie uderzyło, a dopiero w końcu krótko, zwięźle sąd swój przedstawiał. Nie bawił się w owe długie wywody, w które obfitowały pisma Grabowskiego, nie grzeszył nigdy gądatliwością i możnaby mu nawet zrobić zarzut, że nie rozwijał dokładnie myśli swoich, że je szkicował tylko w bardzo grubych zarysach, nie wdając się w ich cieniowania. Był subiektywistą umiarkowanym, wypowiadał swoje wrażenia, co tem stosowniej było, że rozprawom swoim krytycznym nadał formę listów; na zasady ogólne się nie powoływał; w drobiazgową krytykę się nie wdawał; szczerze i gorąco wynurzał swój zachwyt, a krótko i jakby od niechcienia tylko zaznaczył wady i usterki. Chciał czytelników zająć obrazem dawnej i nowej poezji polskiej; o klasycyzmie i romantyzmie zgoła już nie wspominał; szukał tylko wszędzie piękna i gdzie tylko go znalazł, rozkoszował się w niem swobodnie.

W dalszym ciągu działalności swojej Tyszyński pozostał wiernym zarówno myśli zasadniczej, jak i szczegółowym poglądom, wypowiedzianym w „Amerykance”, tylko ją wciąż rozszerzał i pogłębiał. Od r. 1841 pomieszczał w nowo wtedy założonej „Bibliotece Warszawskiej” dużo sprawozdań i roztrząsań, nie tylko z działy poezji i powieści, ale także histolingwistyki, estetyki, a wreszcie filozofii. Krytyki te, pisane starannie, często głębokie, lecz nie odznaczające się stylem łatwym i potoczystym, doznawały wielkiego poważania, ale nie cieszyły się popularnością wśród szerszego ogółu. Główniejsze z nich zebrał autor i wydał w trzech tomach p. t. „Rozbiory i krytyki” w roku 1854 (w Petersburgu), poprzedzi-

wszy je wstępem o „Celu krytyki”. Nie należy ten wstęp do rzeczy najjaśniejszych, jakie napisał Tyszyński. Przejęcie się owocne zagadnieniami filozofii i religji, dążność do zbadania przyszłości, nadały mu cechę bardzo oderwaną, lubo autor starał się o przystępność wykładu. Zasadnicze w nim myśli są następujące:

Gdybyśmy znali ostateczne wyniki, do których dojdzie ludzkość nie tylko w umiejętności, ale w całym życiu swoim, to byśmy mieli najlepszą miarę do ocenienia wszystkich objawów czasowych, wszystkich dzieł dokonywanych obecnie, gdyż wiedzielibyśmy, w jakim one są stosunku do ideału doskonałości. Ponieważ jednak przyszłość ową przewidywać jeno możemy i zaledwo w bardzo ogólnych zarysach na podstawie religji i filozofii sobie przedstawiać, musimy poprzestać na mniej zadawalającej miarce, która się wyraża w *szczeroci* naszych poglądów, uczuć. „Kryterjum prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest.” Tyszyński wyróżniał w człowieku trzy pierwiastki: ciało, myśl i ducha, będącego łącznikiem między dwoma pierwszymi. Za główny przybytek ducha w człowieku poeczytywał serce: „Z serca płyną takie lub inne myśli, takie lub inne uczynki. Jest na dniu serce ludzkich *duch ogólny*, który w jednostce każdej ma jednostkowy swój odcień, lecz w gruncie jeden jest. Ten sprawia, iż każde zdanie myśli, które jest prawdą, dla każdego widzi się prawdą; iż co rzetelnie jest pięknem, dla każdego widzi się piękne... To jest z pewnością prawdą, z pewnością piękne, co sami przed sobą mamy *rzetelnie* za prawdę, mamy za piękne.” Tyszyński wiedział, że ogółowi wyda się kryterjum takie — lichem; mniemał jednak, iż jest ono istotnem, tak zdanie swe uzasadniając: „Samolubstwo, zawiść, nienawiść, pycha, cel zysku, sławy chwilowej i t. p., sprawiły lub sprawiają co chwila w sądach, tak sądach ocenających jak i tworzących, niepamięć lub raczej zacieranie z umysłu owego kryterjum. Źródła te, zrazu najmniejsze, zrodziły jednak, wydały te wszystkie rozroście fałszy, ohydy, szpetności, drogi wsteczne i błędne, owszem nieraz zbrodnicze, w gałęziach sztuk, nauk, związków społecznych i t. p., które świat kształcą.”

Ten indywidualizm i subiektywizm sądu ograniczył jednak Tyszyński wymaganiami wielkimi, jakie względem ukształcenia krytyka postawił. Nie każdy, kto o sąd się kusi, ma ku temu uprawnienie naukowe; bo krytyka ma oceniać dzieła „nie tylko pod względem ich formy czyli gramatyki, nie tylko pod względem pierwiastku w nich piękna czyli estetyki, nie tylko pod względem ogólnego znaczenia się, czyli idei, ale zarówno pod każdym z tych względów”; ma oceniać dane dzieło, czyn, przedmiot, „nie tylko w odniesieniu do siebie, do jego chwili, ale też w odniesieniu do *całej gałęzi, której jest częścią, w odniesieniu do innych gałęzi, w odniesieniu do ostatecznych celów* tak danej, jak wszystkich gałęzi”; jednym słowem krytyka ma być „kierowaniem i posuwaniem owych rozpadłych gałęzi w każdym kierunku, które wymieniliśmy, do ich jedności, czyli zblizania tak każdej w szczególe, jak wszystkich wogóle, do stanów ich kwiatu.”

Ażeby tak rozumianą krytykę uprawiać, nie dosyć jest mieć smak czyli poczucie piękna choćby najsubtelniejsze, nie dosyć pragnąć dojsz prawdy jak najszerszej, ale potrzeba mieć rozległą wiedzę i wielkie doświadczenie życia, a te wpłyną z konieczności muszą na sam sposób odbierania wrażeń a następnie na sposób wypowiedzania o nich swego sądu. Indywidualne uczucie i pragnienie zasilone będzie uczuciami i pragnieniami mnóstwa innych umysłów. „Rzetelny krytyk — wedle Tyszyńskiego — winienby znać nie jedną tylko gałąź z rozwić ludzkości, lecz wszystkie. Znać winien wszelkie rodzaje pojęć i dzieje ich; wszelkie rodzaje uczuć i dzieje ich; znać przeszłość, znać obecność, znać owszem przyszłość. Musząc w sobie być takim, jakimi działać ma innych, winienby nad to i przedewszystkiem: *wiarę* mieć w siebie i umieć zaprzeczyć się; *nadzieję* mieć i poddanie się; *świat kochać* i *nawidzieć* go”.

Osięgnięcie ideału takiego zapewne trudnem jest a bodajże i niepodobienstwem; ale zbliżanie się ku niemu stanowi miarę doskonałości sądu, doskonałości krytyki.

Pod koniec życia ogłosił Tyszyński owoc dwudziestoletniej pracy, uważany przez siebie za najważniejsze swe dzieło, p. t. „Pierwsze zasady krytyki powszechnej” (1870, Warszawa). Chciał tu niejako złożyć dowód swego wielostronnego przygotowania w zawodzie krytycznym, streszczając ogrom erudycji w dwu niewielkich tomach. Pojmując krytykę jako sąd o wszystkim, co tylko jest myślą, uczuciem, ideałem, uczynkiem, przebiegł całe dzieje cywilizacji ludzkiej, zajrzał w przyszłość i z tej dopiero perspektywy i wyżyny zwrócił się do chwili obecnej, ażeby wskazać jej obowiązki, ażeby wykryć zasady krytyki ogólnej. „Ludzkość to pewna Jedność. Wyszła ona z jednych łącznych początków i zdąża do łącznych celów. Jest to Zbiorowy Człowiek, który jak w swem życiu zewnętrznem tak i w życiu wewnętrznem także przebywa doby i także rozwija siły jak i Pojedynczy. Przebyła ona niegdyś dobę swego dzieciństwa, dobę młodości, a dzisiaj w wiek swój męski wstępuje. W dobie pierwszej wzniosła była i wyraziła swą zbiorową *Pamięć*, w następnej zbiorową *Fantazję*, w obecnej jak musi wnieść tak i mieć jeden zbiorowy *Sąd*. Sąd ten jest i właśnie ma być przewodnikiem do owych jej celów *łącznych*, musi więc mieć i jakąś skrytą *łączność* w swoich zasadach. W jego kierunkach różnych, kierunkach sprzecznych, tkwić musi i pewna *jedność*, a w jej tle i owa zgodność z *ostatnim celem*. Idzie tylko o ujęcie tych zasad, rozróżnienie ich i oznaczenie”.

Niepodobna mi oczywiście przebiegać wraz z autorem całego pasma dzieł cywilizacji, wypełniających większą część dzieła; nie będę też streszczał tego obrazu doskonałości ducha, myśli i ciała, jaka nas według pojęć religijnych czeka przed sądem ostatecznym, zatrzymam się tylko nieco nad wnioskami, dotyczącymi chwili obecnej, a zarazem nad zasadami krytyki powszechnej. Rozważanie przeszłości i spejzowanie w przyszłość, doprowadziły autora do przekonania, że pomimo różności dróg, jakimi ludzkość kroczyła, zawsze zmierzała ona ku pewnej łączności, zbliżającej wszystkie nauki i dzieła człowieka do prawdy bezwzględnej, oraz że przewodnikiem w codziennem naszym postępowaniu powinna być religja chrześcijańska. W zastosowaniu tych wniosków do ducha, myśli i ciała, wynikają prawidła, że *duch* powinien się ukazać wolnym od wszelkiej złości, a będzie *czystym*, że *myśl* powinna wzrosć w *mądrość czynną*, a *ciało* czyli *uczynki* winny się kierować zasadą miłości. Ażeby być czystym „człowiek każdy jak Chrystus ewangeliczny, powinienby młodo jeszcze odbyć walkę z czartem i zwalczyć czarta, a w dalszym ciągu życia w każdej chwili móżdżec: „kto mi dowiedzie grzechu?” Pod względem myśli, nabywszy w młodości wykształcenia, powinien następnie „nauczać lud” czy to przez przenosić i przypowieści (działami Sztuki) czy jasnym słowem (działami Umiejętności), gromić próżnych i pysznych, cieszyć prostaczków, przepowiadać i mnożyć ilość przepowiadaczy Nowiny Dobrej. Wreszcie co do uczynków „każdy z ludzi winienby umieć i żyć sam z sobą, na puszczy, poszcząc i modląc się, i żyć śród świata, — jadać z ludem na polu i za stołem bogaczów, — żyć w gronie Doktorów i z grzesznikami, — dzieć ciężary życia i gody, — umieć uniać się i gdzie wypada, — przewodzić, — uczać prawdy nie tworzyć się ani gminu ani doktorów, — znosić równie chwałę i cios, — i nie cofnąć się od uczynków prawdy i od słów prawdy do straty życia”.

Wyrażając zaś owe przepisy słowami religii chrześcijańskiej, *wiara*, *nadzieja* i *miłość* winny być trzema rozdziałami kodeksu, określającego zasady sądu czyli krytyki powszechnej. A mianowicie: „Podstawę jego ma odznaczać *wiara* (wiara już dziś skądinąd prawie z poznaniem łączona), że pośród dróg ludzkości i nauk ludzko-

ści najbliższymi bezwzględnej prawdy są: nauka chrześcijańska i droga chrześcijańska.”

„W jego treści, kierunku i szczegółach celów, zgodnie z nauką tej wiary, ma tkwić *nadzieja*, iż to księstwo fałszów i cieniów, śmierci i złości, którego władza wokrag dziś kuli ziemskiej tyle (lubo znikających stopniowo) objawia śladów, już osądzone jest, i że się urzeczywistnia w gruncie, krzewi i zbliża, wyłącznie dla ziemi i ludzi: królestwo Dobra.

„W jego wreszcie szczegółach wszelkich (wszelkich, że tak powiemy praktycznie: rozumowaniach, teoriach, pismach krytycznych, artykułach) nie powinny mieć miejsca wcale ślady owego księstwa, jako np. gniew, zawiść, wzgarda, (choćby jakiej gałęzi naukowej), dobrowolny fałsz, osobistość, złość słowem wszelka; — ale równie w formie zewnętrznej jak w celach wewnętrznych tkwić winna *miłość*.

(Dokończenie nastąpi).

## Rozwój pojęciowy dziecka. \*)

w okresie lat 6—12.

### Badania nad dziećmi.

Panna Aniela Szye, znana i zasłużona pracowniczka na polu pedagogicznem, wydała pod powyższym tytułem książeczkę, której odczytanie jaknajgoręcej polecić można wszystkim matkom, nauczycielkom i w ogóle wszystkim wychowawcom.

Zdaje się rzeczą zupełnie naturalną, że chcąc na kogoś oddziaływać musimy go przedewszystkiem poznać i że w wyższym jeszcze stopniu niż do innych stosunków ludzkich odnosić się to musi do stosunku wychowującego do jego wychowanka. W praktyce jednak zasada ta bardzo mało bywa uwzględniana. Wychowujemy dotychczas i kształcimy dzieci nie znając ich t. j. nie znając ani ogólnych praw ich rozwoju i zasadniczych cech dziecięcej natury, ani też indywidualnych rysów wyróżniających te dzieci z którymi mamy doczynienia od ich rówieśników. Czynienie systematycznych obserwacji nad dziećmi w ogóle u nas jest jeszcze bardzo mało rozpowszechnione — zestawianie i porównywanie choćby dorywczo czynionych spostrzeżeń również nie weszło jeszcze na porządek dzienny, to też wychowawcy w swej pracy kierują się wyłącznie teoretycznymi poglądami na wychowanie, z góry powziętymi uprzedzeniami — a pozbawieni są niemal zupełnie tych najcenniejszych wskazówek jakich sama natura dziecka i jego rozwój dostarczyć mogą.

Nie przeczę iż jest już dzisiaj znaczna liczba rodziców, zwłaszcza matek — zastanawiających się poważnie nad usposobieniem i wrodzonymi skłonnościami swych dzieci i pilnie notujących w pamięci każdy nowy objaw rozwijającej się duszy. Jednakże jednostkowa obserwacja nie zestawiana ze spostrzeżeniami czynionymi na większą skalę, bardzo niewiele nauczyć może. Znać jedno lub dwoje dzieci z jednej rodziny, to prawie tyle co nie znać ich wcale, gdyż nie ma się wtedy żadnej miary do ocenienia doniosłości faktów, które nas uderzają. Ileż to razy np. rodzice uważają to za dowód wielkiej bystrości umysłowej, jeśli ich sześciolatek dziecko pojmie i zrozumie fakt, o którym inne — im nieznajome dzieci, już w czwartym roku dość dokładne mają pojęcie, lub też przeciwnie ubolewają nad brakiem zdolności swego dziecka, jeśli nie mogą mu wbić w głowę jakiej wiadomości zresztą dla wszystkich jego rówieśników równie niedostępnej. Częściej jeszcze trafia się, że ojciec lub matka z roku na rok zmieniają zdanie o naturze swego dziecka przy-

pisując pewnym przemijającym, od wieku nieodłącznym objawom znaczenie zbyt doniosłe. Tak np. toż samo dziecko w pewnej epoce wydaje im się tępem, ślamazarnem, apatycznym lub na wskroś egoistycznym w innej przypisują mu dobre serce, nadmierną wrażliwość i t. p. Naturalnie na sąd ich wpływa bardzo atmosfera otoczenia w którym żyją; im wyżej pod względem uczuciowym lub umysłowym stoi rodzina, tem wyższe wymagania stawiać będzie dziecku.

Ztąd właśnie wynikają często różne pomyłki wychowawcze i mimo najlepszych chęci wyrządzana czasem dzieciom niesprawiedliwość. Dla unikania podobnych błędów należałoby jaknajwięcej czynić obserwacji nad możliwie jaknajwiększą ilością dzieci, spostrzeżenia te zestawiać, porównywać i z nich dopiero wyprowadzać wnioski, czego od dziecka danego wieku wymagać lub spodziewać się można.

Książeczka panny Szye takiego materiału obserwacyjnego zawiera dużo. Autorka badała 500 dzieci w wieku od lat sześciu do 12-tu pod względem ich pojęciowego rozwoju, a ponieważ z własnymi spostrzeżeniami porównywała rezultaty otrzymane przy badaniach podobnych w Ameryce i Niemczech, oraz korzystała z pokrewnych prac współczesnych psychologów, więc podstawę jej wniosków odpowiednio do tego znacznie rozszerzyć można.

Naturalnie wszystko to nie wystarcza jeszcze ażeby zdobyć jakieś pewne, ustalone prawa rozwoju umysłów dzieciennych. Materiał opracowany przez pannę Szye i w ogóle ten jaki dotychczas nauka zebrała, nie jest jeszcze tak bogaty, aby na jego zasadzie można budować cośkolwiek więcej niż prawdopodobne przypuszczenia. Autorka zresztą jest najzupełniej świadoma braków swej pracy; sama widzi jej znaczenie główne w tem, iż stanowić ma pierwszy krok na polu, które dotychczas u nas prawie zupełnie odlegiem leżało.

Badane przez nią dzieci należały do tej sfery, która dostarcza małych pensjonarzy koloniom letnim. To samo naturalnie już sprawia, że rezultat, choć bardzo ciekawy, musi być trochę jednostronny. Rozszerzenie badań na dzieci ze sfer zamożniejszych i oświecenijszych mogłoby dostarczyć pola do porównań i do bardzo cennych doprowadzić wniosków o wpływie dziedziczności, otoczenia, pierwiastkowego wychowania i nauki szkolnej.

Kwestyonaryusz, którego trzymała się panna Szye przy badaniu dzieci zawierał kilkadziesiąt pytań odnoszących się do części ciała, kształtów, stopni pokrewieństwa, pochodzenia rzeczy, zjawisk przyrody, pojęć religijnych, moralnych, wreszcie wchodzących w zakres historii i geografii.

Otrzymaone odpowiedzi grupowała według płci, wieku i pochodzenia zapytywanych, a prócz szematycznego ich zestawienia podawała również objaśnienia i uwagi dzieci, świadczące o pewnem samodzielnem pojmowaniu spraw o których była mowa.

Osobne rozdziały poświęciła pojęciom dzieci w przyrodzie Bogu, ich poglądom na złe i dobre wreszcie ich rozumieniu szczęścia. Te rozdziały należą do najciekawszych, a zarazem najwięcej nauuczających. Nie ulega wątpliwości, że dzieci żyjące w cywilizowanym społeczeństwie między 6-ym a 12-ym rokiem swego życia, nie mogą zupełnie samodzielnie wytwarzać sobie pojęć o świecie, Bogu i t. d. Na ich światło pogląd wpływa bardzo wychowanie, jakie odbierają, a niema dziecka, któremu by jego otoczenie z rozmysłem i systematycznie lub choćby tylko dorywczo nie podsuwało lub narzucało zasad i zapatrywań przyjętych przez dorosłych. Jednakże umysł dziecienny pojęć ludzi dojrzałych, nie może sobie przyswoić w takiej formie niezmiennionej. Musi on je sobie odpowiednio do własnych potrzeb przeto pewną całość połączyć, a właśnie te samodzielne przeróbki z zewnątrz otrzymanego materiału nieraz wskazać nam mogą, co dla dzieci danego wieku jest zrozumiałem i dostępnem, co dla nich pożyteczny nabytek umysłowy sta-

\*) Nakładem kasy imienia Mianowskiego.

nowi, a co raczej tylko zamęt w głowach wywołuje.

Równie ciekawych i pożytecznych wskazówek dostarczają życzenia dzieci świadczące o tem, jak one pojmują szczęście. I te naturalnie życzenia powstają w duszy dziecka pod wpływem otoczenia. Wśród dzieci badanych przez pannę Szye bardzo znaczna liczba pragnęła mieć pieniądze. Tutaj np. najwyraźniej zaznacza się wpływ otoczenia od którego się dzieci o wartości pieniędzy dowiadują. Jakkolwiek takie życzenie u dzieci od lat 6—12-tu niezbyt przyjemnie uderza, to jednak nabiera ono znaczenia dopiero w zestawieniu z innymi przez dzieci wyrażanymi pragnieniami. Pieniądze bowiem tak samo dla dzieci jak i dla dorosłych, przedstawiają się tylko jako środek do osiągnięcia różnych często bardzo odrębnego charakteru celów. To też nie poprzestając na wypytywaniu dzieci ściśle wedle kwestjonariusza należałoby zawsze wdać się z nimi w rozmowę, która często zupełnie niespodziane światło na ich odpowiedzi rzuci — tak jak to zresztą czyniła autorka niniejszej książki.

Życzenia dzieci dzieliła panna Szye na trzy kategorie: 1) materialne, 2) idealne, 3) altruistyczne. Jeśli na przykład dzieci pragną mieć pieniądze aby przychodzić w pomoc rodzicom lub wspierać uboższych, to ich pozornie materialne życzenie właściwie do altruistycznych zaliczyćby trzeba. Czasami znów w odwrotnym sensie, pomyłki popełniać można. Oto ciekawe a bardzo pouczające rozumowanie pewnego chłopca 11-letniego, przytoczone przez pannę Szye: „Najbardziej pragnąłbym się uczyć, bo jak będę miał naukę, będę mógł zrobić jaki wynalazek, a jak zrobię wynalazek, mogę być sławny i bogaty.” Autorka dodaje, że „laury Szczepanika spać mu nie dawały.” Tutaj znów znać na umyśle dziecięcym silny wpływ kierunku umysłowego dorosłych, którym imponuje tylko powodzenie i którzy cześć nie naukę samą jako drogę do prawdy, lecz zastosowanie nauki w przemyśle jako środek do zdobywania milionów i rozgłosu. Gdyby dany chłopiec był tylko krótko bez objaśnień był powiedział, że pragnie przede wszystkim mieć naukę, życzenie jego zaliczonemby zostało do idealnych subiektywnych, a przy częstszych pomyłkach poziom ideałów naszych dzieci, przedstawiłby się znacznie wyższym, niż jest w istocie. Te i tym podobne fakty dowodzą jasno, że choć przy zestawianiu tego rodzaju obserwacyjnego materiału dla wysnucia z niego odpowiednich wniosków bez pewnego kategoryzowania, obliczania i t. p., obejść się nie można, jednakże nie należy poprzestawać na samem operowaniu cyframi, gdyż one bez głębszych dociekań i dokładniejszych objaśnień, same przez się do bardzo błędnych doprowadzić mogą wniosków. Kwestjonariusz ma znaczenie przewodnika a zarazem szematu ułatwiającego usystematyzowanie obserwacji, ale samo suche wypełnianie punktów w nim zawartych nie wystarcza dla zdobycia spostrzeżeń, mających pewną psychologiczną wartość.

Książka panny Szye posiada jeszcze tę zaletę, że zawiera wskazówki dla osób, któreby idąc za przykładem autorki, spostrzeżenia zbierać chciały, a zarazem przykłady jak te spostrzeżenia objaśniać i spożytkować należy. Przyniosłaby ona dla sprawy wychowania u nas nieobliczalne korzyści, gdyby wywołała jaknajszersze naśladownictwo i wzbudziła popęd do studjowania dzieci. Jakżeby to było wdzięczne i mile pole pracy dla matek na przykład, gdyby posłuszne wezwaniu autorki zechciały rezultaty badań nad swojemi dziećmi notować, przysyłać tam gdzieby je spożytkować umiano i tym sposobem przyczynić się do rozwoju nauki, która je w najważniejszych zadaniach ich życia oświecać i wspierać może.

J. Moszczeńska.

Wiktor Gomulicki.

## WIERSZYKI.

### CO DROŻSZE?

—  
 Szczęście, to długa słoneczna pogoda;  
 Niedolę z szarą zrównać można słotą.  
 Przy zbytku słońca, jak miła ochłoda!  
 W chmurach, jak cieszy żywe słońca złoto!  
 Gdyby na jednej pokładły się szali:  
 Z płaczącem niebem słoneczna ulewa,  
 Pewnie-by droższym nad zar, co wciąż pali,  
 Wydał się promyk, co czasem zagrzewa.

### ZAGADKA ŚMIERCI.

Ileż to lat już mocuję się z tobą,  
 Straszna zagadko!  
 Zżarłaś mię bólem, otrułaś żałobą,  
 Szaleństwa matko!  
 Wszystkich jam kluczy próbował z kolei,  
 By poznać ciętie;  
 Teraz je wszystkie, wyzuty z nadziei,  
 Rzucam od siebie.  
 Jednogom doszedł: że w myśli rozpędzie  
 Cel śniąc daleki,  
 Nikt nie znał, nie zna i znać cię nie będzie  
 Po wieków wieki!

### KUKUŁKA.

Dokąd pójde, wszędzie słyszę  
 Twe kukanie, przywabianie,  
 Co wciąż mąci leśną ciszę...  
 To się z cicha gniewam na nie,  
 To mię kusi chęć wesoła,  
 By przyłapać tę, co woła.  
 Lecz w gęstwinę wpadłszy ciemną,  
 Nie dasz wziąć się nawet wzrokiem...  
 Gdy więc pierzchasz tak przedemną,  
 Jako nimfa z sarniem okiem,  
 Nie nazwę cię mianem twojem,  
 Lecz—swem szczęściem, swym spokojem...

### CUDNY JEST TEN ŚWIAT...

Cudny jest ten świat;  
 Uciech na nim mnóstwo;  
 Wszzechmiłości bóstwo  
 Użycza mu szat.

Cudny jest ten świat;  
 Ciągłe na nim gody;  
 Na kanwie przyrody,  
 Błyszczą sztuki kwiat.

Cudny jest ten świat,  
 Serdeczny, uczynny...  
 Jednak go na inny  
 Każdy zmienić rad!

## ZAPACH ZIEMI.

Zroszona ziemia dziwnym tchnie zapachem.  
 Wciągam go w piersi z rozkoszą i strachem.  
 W pamięci on mi budzi naprzemiany:  
 Wiosenną orkę i grób rozkopany.

## BEZ DUSZY

POWIEŚĆ

przez

Cecylję Walewską.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Mglisto i ciemno od kilku dni było na wyspie. Niebo, obciążone kopułą szarych obłoków, rzucało na ziemię smugi drobnego deszczu, kołące go, jak ostrza szpilek. Morze huczało, z rykiem i szumem ciskane o skałę; zdawało się, iż padnie pod naporem jego rozkruszony na drobne cząsteczki dolomit. Wśród szalejącej wichury drżały poszczerbione jego zręby. Trójkąt ziemi w dole, płaskim skrawkiem wsunięty w morze, zalany był wodą do połowy prawie: tu i owdzie tylko sterczały groble, dygi, pomosty. Jedyną barwną plamę dokoła stanowił kobierzec łąk zielonych górnej części wyspy, gdzie powymierali jakby ludzie.

Od czasu do czasu spacerowało tam kilku angiłów w gumowych płaszczach z szarami parasolami i przewieszonymi przez plecy lunetami; zresztą, nie widać było nikogo. Rybacy, zwykle rojni i gwarni, pokrywali się w chatach swych na wązkich uliczkach. Jeżeli kto wyjrzał przez okno, to po to tylko, by wykazać twarzą nudę i zniechęcenie. Groza morza zmogła ludzi. Najdzielniejsi żeglarze, bezsilni wobec wszechwładzy żywiołów, czekali w pokorze i skupieniu, co przyniesie jutro: pogodny ranek, czy też deszcz i huragan, jak wczoraj?

Nuna od trzech dni nie wychodziła z domu i nieprzyjmowała u siebie nikogo. Opanował ją jeden z tych dławiających smutków, w które w padała nieraz z najblachszej przyczyny.

Ktoś powitał ją nie dosyć uprzejmie; na koncercie, w teatrze, w salonie zajmowano się nią zbyt mało; inna kobieta, nie ona, była królową zabawy: starezyło to, by na piersiach jej zaciążyła bryła ołowiu.

Dla otoczenia swego stawała się wówczas nieznośną; mąż, znajomi, służba, drażnili ją do żywego. Chmurna, zaszepiona, nie odzywała się do nikogo, a na pytania: „co ci jest?” — odpowiadała szorstko:

— Nie. Dajcie mi pokój! Nie zajmujecie się mną!...

Najczęściej w takich razach zamykała się na klucz w swoim pokoju i całemi dniami nie wstawała z łóżka, a jeżeli podniosła się, to po to tylko, aby zarzuciwszy cośkolwiek na siebie, przejść na kanapę i znowu, leżąc, wlepić oczy w sufit lub w drobny jakiś punkt na podłodze, na ścianie, w deseń firanki, w arabski dywan, w cośkolwiek, co, zająwszy wzrok, pozostawiało ją nadal w stanie zupełnej bezmyślności.

Jedyną rozrywkę jej wówczas stanowiło male srebrne lusterko, które brała w rękę, by wpatrzeć się w siebie.

Niekiedy wszakże nawet ustawał i kult własnej piękności: kładła lusterko na bok i nie wracała do niego.

Może dostrzeżona nagle zmarszczka lub pryszcz brzydki byłby ją zbudził z odrętwienia; w tych

dlugich i ciężkich chwilach melancholji wszakże cere miała istoty na pół obumarłej, woskowo przezroczystą i gładką: zdawało się, że w skurczu głuchego podrażnienia kona alabastrowe jej ciało...

Dlaczego teraz od trzech dni trawił ją smutek? — sama nie wiedziała.

Tajemnicza wycieczka do pracowni Nordena, a potem ten obraz, z mózgu jej jakby wyjęty i na płótno przeniesiony, wstrząsnęły nią całą. Nie spała parę nocy; dostała lekkiej gorączki.

W majaczeniach ] przemykały się wciąż przed nią obrazy dzieciństwa i oto teraz, leżąc na znak z oczyma utkwionemi w ołowianą chmurę, zaglądną przez szyby okien do wnętrza pokoju, przypominała je sobie.

Od najmłodszych lat przywarł do niej przydomek „bezdusznej.”

Była małą dziewczynką, kiedy guwernantka, patrząc na nią, jak kłula szpilką w nos i w uszy młodego kociaka, który wił się i piszczał z bólu w jej rękach, pierwszy raz powiedziała:

— Trzeba nie mieć duszy, żeby robić coś podobnego!...

Na pensji koleżanki, z którymi nie żyła nigdy, samolubna bowiem, kapryśna i wymagająca, wyzyskiwała je, jak mogła, nie dając im nic w zamian, mówiły jej często:

— Jesteś bez duszy!

Ojciec... oh, od niego słyszała słowa te codziennie, co godzinę niemal, tak iż przestały nawet działać na nią.

Matka nie oszczędzała jej również.

Pamięta doskonale ostatni jej list do ojca, zostawiony na stole, gdy porzuciła dom własny.

Kartka brzmiała:

— Nie szukaj mnie: nie wrócę do ciebie już nigdy; dosyć mam waszego błota polskiego i waszej ekliwej rodzinnej miłości. Potrzebuję szerszego życia. Bądź zdrow! — Pociesz się jaką jasnością i błękitnooką kapłanką domowego ogniska; niech ci ona osłodzi zawód, doznany z mego powodu. O Nunę nie boj się. Jeżeli kto, to ona chyba wyjazd mój najmniej odczuje: to istota bez duszy!...

Nie odczuła go, rzeczywiście.

Od dzieciństwa nie lubiła matki: coś odpychało je od siebie wzajemnie: może współzawodnictwo urody, z której dumna była czarnooka włoszka, a w której prześięgała ją córka!...

Śmiała się, gdy powiedziano jej, że matka wyjechała i nie wróci już nigdy.

— To dobrze: będą większą panią w domu — odrzekła, prostując się z godnością.

Ciotka, stara panna, która to usłyszała, spojrziała na nią przerażonemi oczami.

— Ty nie masz serca, nie masz... duszy, jeżeli myślisz naprawdę to, co mówisz! — zawołała pełnym oburzenia głosem.

— Być może. Mama niema ich także, skoro porzuciła nas nawet... bez pożegnania — odparła obojętnie.

W kilka dni po ucieczce matki, ojciec zachorował i dwa tygodnie był między życiem a śmiercią.

W chwilach największego niebezpieczeństwa przed każdym przyjściem doktora, młodego i ładnego bruneta z wykwitną hiszpanką i brylantami na palcach, godzinami całemi przeglądała się w lustrze, przymierzając suknie i wstążki, w których jej było najbardziej do twarzy.

Służba, dozorczyń, ciotka otrząsała się na nią ze wstrętem, a ona drwiła z tego.

Nie miała duszy. Wszyscy powtarzali jej to od lat najmłodszych.

Jak automat, szła przez świat, popychana siłą organiczną, która dała życie ciału. Wychowawcy nauczali ją trochę myśleć i myśli te wywoływały w niej nieraz ów ból i smutek, dławiący pierś ciężarem; myśli te kładły na usta pytania:

— Czy zawsze już tak będzie? — Czy w niczym i nigdy nie zmieni się twe życie, nie zmienisz się ty sama?

Gdyby była taka, jaką w obrazie swoim przedstawił ją Norden: gdyby miała duszę!

Podniosła się na poduszkach i ukryła twarz w dłoniach.

Ogarnęło ją palące, gorzkie pożądanie tego promyka niezziemskiego blasku, którym na obrazie płonęły jej oczy.

— Ja chcę mieć duszę! — Ja chcę rozumieć, chcę czuć i wiedzieć to, czego nie rozumiałam, nie czułam i nie wiedziałam dotąd! — powtarzała rozpalonemi ustami.

Ubiegłe życie wydało się jej naraz szare i mętne. Spała dotąd. Teraz... nastąpiło może przebudzenie, lecz dlaczego w takiej tęsknocie i smutku?...

Bryła ołowiu gniotła jej piersi. Przeleżała do zmierzchu, pogrążona w półsennej odrętwieniu i byłaby płakała, gdyby łzy nie zastygały pod sztywnymi powiekami.

Co jej było? — Nie umiała określić. Ciało jej, marmur twarzy, rąk, stóp i ramion zastygał zwolna, z całą siłą natomiast rósł i olbrzymiał ból, gryzący piersi.

Cierpiała, a nie umiała nawet wieć się w tej męce nieokreślonych, nowych uczuć.

Czego chciała? — Czego pożądała.

Nie zasnąć, jak fakir indyjski i zmienić się całą misterną machinacją organizmu w bezcielesne zero, lecz żyć innem, niż dotychczas życiem.

Ból piekący dławił jej oddech, a w nim rosła niepojęta tęsknota.

Za czym? — Czy tylko za tym płomykiem duszy, który na obrazie w oczy jej teńnął wielki malarz?

Olbrzymia ołowiana chmura, kłębiąc się od wschodu, nabrzmiewała stopniowo, aż wreszcie półkolistą oponą zajęła cały firmament. Przerwana wiatrem, zajaśniała od zachodu na chwilę kryształowym blaskiem, którym słońce żegnało ziemię i spienione morze.

Jutro... kto wie, czy zobaczy jeszcze tę wątłą łupinę, ten purpurowy, mały kawałek ładu, który szarpia wichry i rozrywają fale?

Czerwony dolomit giał się pod naporem żywiołów; huragan mógł zwiać go z powierzchni wody, jak pył drobny. Zbudziwszy się, białe oko dnia może nie ujrzy wyspy i tylko z głębin morza usłyszy jęk tysiąca ofiar, złożonych podwodnemu władcy wzamian za krótką chwilę istnienia kruchej skały na świecie!...

Nuna wstała, otworzyła okno, którem szarpała wichura i wychylona do połowy, stanęła w niem. Z jednej strony padł na nią siny cień pędzącej nawałnicy, z drugiej — anemiczny blask gasnącego słońca.

Było coś Danteskiego w tym widoku: na prawo jakby skłębiona, czarna otchłań piekielna, na lewo — kryształowy odbłask rozwartego nieba.

Czas jakiś, patrząc to w krąg światła, to w chmury zwiechzone, Nuna stała przy oknie.

Wiatr rwał jej włosy i szarpał koronki stanika. Nie czuła tego. W piersiach silniejszy miała huragan, niż ten, co huczał nad nią. Działo się z nią coś dziwnego. Poprzednia martwota minęła. Miała chęć teraz skoczyć w spienione morze i z rykiem jego zmięsząc krzyk swego bólu.

Nie ruszała się jednak z miejsca, piła tylko ciężkie, elektrycznością naładowane powietrze i podawała piersi pod pierwsze gromy piorunu, zwiastowanego zygzakami błyskawicy.

Gdyby nagle teraz przeszył ją, skończyłyby się ten ból dziwny, doprowadzający ją do szaleństwa.

Czemu cierpiała? — Była kochaną, podziwianą; miała to, czego pragnęła zawsze: miała rój wielbicieli dokoła siebie... a jednak... czuła się w tej chwili najnieszczęśliwszą z istot żyjących!...

Ojciec mówił jej nieraz w chwilach gniewu:

— Odpokutuj w tobie kiedyś łzy, nie wylane nad występkami twego życia!

Może miał słuszność? — Może teraz właśnie rozpoczęła się pokuta i dlatego cierpiała?

Tyle, tyle złego zrobiła! — Dla nikogo nie miała współczucia, nikomu nie była promykem słońca, ciepłem ukojeniem... Życie jej, jak gradowa burza, niesło zniszczenie!...

Utkwiwszy wzrok w przestrzeń, zaczęła roztrząsać postęпки swoje.

Po raz pierwszy budziło się w niej sumienie. Dotąd nie znała ani wyrzutów jego, ani słodkiej otuchy.

Pomyślała nagle o tych wszystkich, którym zlamala życie.

Dobre, szafirowe oczy pierwszego męża, przesunęły się przed nią, jak we mgle.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Skrzywdziłam go — szepnęła głucho, zwięszając głowę na piersi.

Napełniła ją wielka gorycz. Mimowoli zaczęła porównywać Feliksa z Zarzeckim.

Tamten, mniej zdolny może, ale pracowity, sumienny, silną wolą i wytrwałością jedynie wywalezał sobie stanowisko w świecie; ten — karjerowicz, robiący wszystko na efekt, zrezygnant, sypaniem ludziom piasku komunałów w oczy zdobywał godności, majątek i szacunek!...

Czy byłby ożenił się z nią, gdyby nie piękność jej, którą mógł się pochłubić, gdyby nie dar błyszczenia w świecie, który dopomógł mu do prowadzenia salonów?...

Feliks kochał ją prawdziwie, Zarzecki!...

Otrząsnęła się.

Na zmysłowych jego wargach, szepczących słowa pieśczęoty, czuła zawsze zgrzyt fałszu: nie mogła mu wierzyć!... Kobieta istniała dla niego tylko, jako piękne ciało. Ona... nie miała duszy, ale lubieżność starego rozpustnika napełniała ją wstrętem!...

I dla tego chciwego nowych wrażeń pyszałka, dla tego karjerowicza, którego bóstwem był złoty cielec, skrzywdziła tamto prawe, szczerze do niej przywiązane serce? — Skrzywdziła — za co? — Za to, że dawało jej tylko miłość, gdy ona pragnęła dobrobytu.

Rumieniec wstydu zalał twarz jej.

Nigdy jeszcze z równą siłą nie rozbudziła się w niej świadomość własnej nędzy moralnej.

— Gdyby wszyscy byli do mnie podobni, świat zamieniłby się w ocean samolubstwa i próżności — pomyślała, cisnąc czoło do chłodnej futryny okna.

W tem drgnęła. Krwawy zygzak osłepił wzrok jej, a potem coś strasznie zahuczało, zajączało w powietrzu, rozsypując się gradem ostrych pe-cisków.

Zdawało się, że przycichło na chwilę morze, bijące o skały.

Piorun uderzył tak blisko, że ogłuszona Nuna, uczuła zapach prochu w powietrzu.

Orzeźwiło ją to. Rozwarła powieki szeroko i zaczęła wpatrywać się w płomyki błyskawicy, szybko po sobie następujących.

Owładnęła nią szalona chęć wybiegnięcia nad morze, posłuchania zbliżka ryku fal, została jednak: głucha noc, pustka na wybrzeżu napełniły ją strachem.

Stojąc wciąż w oknie, biała jak gipiura zwięszona nad głową jej franki, pierwszy raz w życiu zapytała siebie:

— Co ja jestem warta?

— Nie — gorzej, jak nie, dotąd bowiem tylko łzy dawałam tym, co mię kochali!...

— Czy powinnam żyć?...

— Nie, inną bowiem nie będę, a taka, jaką jestem, tylko gorycz sięję dokoła!... Umrę więc, umrę niedługo, lecz przedtem!...

— Twarz jej drgnęła.

Przed śmiercią pragnęła raz jeden przeżyć te szaleńcze miłosne, te dreszcze rozkoszy, te upojenia i ekstazy o których wiedziała, że są, budziła je bowiem spojrzeniami i pocałunkami swemi, sama nie doznając ich nigdy!...

— Teraz... czy także nie umiałaby ich doznać?...

Wiatr muskał jej czoło, szarpiając otwarte okna. Zasłoniła dłońmi oczy.

Co się z nią działo. — Zkąd ta szalona rozterka? — Zkąd ta burza nowych, nieznanych wrażeń?

— Zkąd?

Odjęła ręce od twarzy, spojrziała w przestrzeń ze spokojem nagle do równowagi przywołanej i wolno z zastanowieniem powtórzyła pytanie:

— Zkąd ten niepokój? — Zkąd burza wrażeń?

Ależ wie dobrze, może odpowiedzieć natychmiast, nie chciała dotąd tylko przyznawać tego

nawet sama przed sobą; nie wierzyła podszeptom myśli, nie wierzyła tej słodkiej wibracji, napelniającej ją wrażeniem rozkoszy; sądziła, że to tylko uluda, teraz jednak, oh, teraz rozumie i wie napewno, że to... że to... pierwsza, tak, pierwsza w jej życiu...

— Miłość! — zawołał nagle jakiś głos w niej, czy tuż nad nią.

— Miłość — powtórzyła cicho, drżąc cała.

Serce jej zabiło; w oczach błysnęło kilka gorących płomyków.

Z mgieł nocnych wychyliła się przed nią nagle twarz Nordena, odcięta jakby od całego korpusu i płynąca ku niej coraz bliżej, coraz bliżej...

Oh, widziała ją wciąż, nie rozłączała się z nią ani na chwilę; we śnie i na jawie miała ją przed oczami. Ta droga, ukochana twarz!

Czemu droga, czemu ukochana?

Opona chmur skłębionych rozsypała się nalgłym deszczem.

Nuna utkwiała wzrok w mroczną przestrzeń.

— Dziwne jest życie — pomyślała. — Za miłością, jak za kwiatem paproci, gnać trzeba przez pola, morza i lasy... Czy wszyscy ją zdobywają? — Czy dla wszystkich kwitnie paproć?

Czem byłby świat bez miłości?

Pustą banią.

I naraz wydało się jej, że kochała Nordena już dawno, że z uczuciem tem na świat przyszła a wszystko złe, jakie popełniła, popełniła, by dostać się do niego...

Po łzach ludzkich deptała, szukając go...

A on — czy szukał jej także? — Czy czuje i wierzy, że byli sobie przeznaczeni?

Głośna wichura szarpała okno.

Nuna zamknęła je i odeszła w głąb pokoju.

Twarz Nordena wlokła się za nią wszędzie; głos jego drgał, zdawało się w przestrzeni.

Było jej dobrze; smutek zniknął z piersi.

— Czy on mię kocha? — Czy wierzy, że powinniśmy się byli spotkać, że przeznaczenie pechało nas ku sobie? — Że, jeżeli ja przestaję być bezduszną lalką, on to sprawia, on budzi we mnie duszę... Czy on wie to wszystko? — myślała, nie słysząc już dokoła siebie rozhukanych żywiołów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WYSTAWA SZKOLNA.

w pracowni p. Bronisławy Wiesiołowskiej.

Wspólna № 25.

Szkoła artystyczno-malarska, p. Bron. Marji Wiesiołowskiej, znana już jest od lat wielu w Warszawie. Prowadzoną była starannie przez artystę malarza Wiesiołowskiego, po śmierci którego, żona jego, artystka bardzo uzdolniona, córka malarza ś. p. Malinowskiego, objęła nad nią kierunek, i prowadzi ją samodzielnie, systematycznie, wzorując się na szkołach zagranicznych, a sądząc z wystaw dorocznych jakie w swej pracowni urządza, uczennice jej znaczne czynią postępy.

Jest to szkoła zatwierdzona przez Ministerjum oświaty, i mająca rzeczywiście pedagogiczne znaczenie, gdyż nie poprzestaje na sztuce stosowanej, ale młode adeptki stosownie do swego uzdolnienia, pracują nad rysunkiem, ornamentami, martwą naturą, pejzażami z natury i żywym modelem. Dopelnienie wykształcenia artystycznego, stanowi perspektywa i ogólny zarys anatomji praktycznej.

Malarstwo w zastosowaniu do przemysłu, jak to słusznie w swym programie p. Wiesiołowska zaznacza, może być tylko uważanem jako dodatek do wykształcenia artystycznego, ponieważ nie przedstawia ono żadnych trudności dla osób znających rysunek, wystarcza poznanie specjalnych sposobów, i nabycie wprawy.

Przytem szkoła posiada dział odrębny: teorii architektury, budownictwa i wykreślanie projektów architektonicznych w zakresie wymagań rządu gubernialnego. Wykwalifikowanym rysowniczkom powierzają się zamówienia na rysunki architektoniczne.

Dowiadujemy się, iż przeszło 30 uczennic p. Marji Wiesiołowskiej, które się tej pracy poświęciły, mają obecnie stałe posady w biurach technicznych, otrzymując od 25 — 30 rubli za kilkogodzinne zajęcie.

Zanotowuję to jako fakt, mogący zainteresować osoby szukające zarobku, a mające zdolności do rysunku, gdyż jest to rodzaj pracy mało dotąd przez kobiety uprawiany, a przy wrodzonej cierpliwości i pewnej wprawie, może się stać bardzo stosownym i korzystnym dla wielu pań naszych, zajęciem.

Pracownia p. Wiesiołowskiej, zmieniona chwilowo w rodzaj wystawy, przedstawia się zajmująco; spotykamy studja z natury robione węglem kredką i olejno szkicowane, martwe natury, i sztukę stosowaną, a więc ekrany, parawaniki, poduszki, nawet suknie malowane.

Odnaczają się wybitnie portrety wypalane na drzewie, roboty panny Kamilli Borzysławskiej; młoda artystka otrzymała już podobno sporo zamówień na tego rodzaju prace, stanowiące u nas ponętą nowość.

P. Zofia Potocka nadzwyczaj starannie wykończyła portrety Paderewskiego i Józ. Potockiego (Bohusza). Bardzo dobrze wystudjowane są głowy końskie malowane z natury przez hrabiankę Janinę Krasieńską. Pp. Julji Geyer, Anny Somowej, Heleny Mader, Eugenji Börger, martwe natury, szkice i studja, oraz p. Morawskiej głowa z natury, (szkiełką piórkiem robiona) — wszystko to razem składa się na całość, bardzo dodatnie sprawującą wrażenie.

Wszystkich prac razem zebranych jest kilkadziesiąt, świadczących zarówno dobrze o sumienności i pracowitości uczennic, jak o zdolnościach pedagogicznych utalentowanej ich kierowniczki

Jerzy Orwicz.

## Korespondencja z Włoch.

Palermo w Październiku

Włócząc się tam i tu po italskiej ziemi, wbrałem się nareszcie i do Sycylii. Pragnąc wypoczynku, zatrzymałem się na czas pewien w cichym zakątku wybrzeża wschodniego, dokąd nęciła mnie sława nieopisanych piękności Taorminy. W jasny dzień październikowy jadę koleją po przez piękne wybrzeża morza Jońskiego, tonące w świetle słonecznym. Na wierzchołkach gór piętrzą się zębate baszty napoły zburzonych zamków, sięgających pod niebiosy. Przepyszne gaje pomarańczowe przerywają w różnych kierunkach szare skały, idące ku morzu. Nad tymi cudnymi gajami, potężnymi skalami i słodko-błękitnym morzem, jak ponury sztyldwach, sterczy Etna, groźny ongi burzyciel, od lat wielu snem objęty.

Przed oczyma memi rozwija się obraz wyspy Cyklopów, rzuconych tutaj przez Poliphema zagagniewanego na Odyseusza. Na pamięci staje mi podanie o pięknej Galatei. Aci-Reale, nazwa rzeki i miasteczka, uwiecznia imię jej nieszczęśliwego kochanka.

Jest to nowy Aci-Reale; stary gród przed dwustu laty zniszczony został przez silne trzęsienie ziemi.

Aby z niskiego brzegu morskiego przy stacyi Dżordżini dostać się do Taorminy, trzeba pisać się pod górę, przez skalne urwiska do wysokości 300 metrów nad poziomem morza. Nad spadziścią drogi, pokrytej białym pyłem, szarozółte masy skał, jedne nad drugimi, wznoszą się do nieba, niby giganty mitologiczne, wdzierające się

do mieszkania bogów. Koło domków, tu i owdzie porozrzucanych i między skałami rosną obficie platany, cyprysy i oryginalne kaktusy, noszące naukową nazwę *Ficus indica*. Pod samem miastem leży w zwaliskach długi mur z otworami, w których ongi chowano ciała zmarłych. Do miasta dostajemy się przez *Portu di Catania*. O parę ulic od wrót miejskich znajdują się ruiny słynnego teatru. Niektóre części gmachu zachowały się wybornie. Marmurowe kolumny malowniczo uwypuklają się na różowym tle ściany. Gmach ten zbudowano na parę wieków przed Chrystusem; odbywały się w nim kolejno przedstawienia Sofoklesa i Eurypidesa, walki gladiatorów a podobno czasem nawet egzekucye na śmierć skazanych zbrodniarzy. Saraceni zburzyli teatr w VII stuleciu a w XVII wieku książę San Stefano ostatecznie dokonał dzieła, zabierając cenniejsze resztki do swego pałacu.

Śród zwalisk zwracają jeszcze uwagę wspaniałe resztki: biust Bachusa i głowa Apollina. Marmur potłuczony i zrysowany, ale czoło i oczy pięknej twarzy zachowały się jeszcze nieźle i bije zeń majestat piękności boskiej, zwyciężającej nieszczęsny wpływ czasu. Dokoła jakiś ogrom wiecznego piękna! W oddali na tle błękitów widać szare wysokie góry. Zatoka Messeńska, Sycylla i Charybda, brzegi Kalabrii, wybrzeże usiane mnóstwem białych punktów — to Redio i pobliskie miasteczka. Morze gra wszystkimi kolorami tęczy, tocząc swe fale na nieskończoną przestrzeń. U stóp teatru śpiczaste dzwonnice, szare domostwa i odwieczne baszty Taorminy. Nad tem przyrosłe do skał miasteczko *Mola*, a nad wszystkim czuwa mgłą okryta *Monte Venere*. Malowniczy pejzaż, jaki wzrok spotyka roztocony dokoła Taorminy podnosi swój urok nieopisaną słodyczą ciszy i spokoju, tu panujących. Wzdłuż galerji teatru przesuwają się sylwetki turystów. Zwykle, nieciekawe typy. Od czasu do czasu dolatują okrzyki zachwyty. Uciekam od nich do obserwatorium morskiego, urządzonego na cyplu skały. Przy oknie czuwają dwaj włoscy marynarze; milcząc wpatrują się w błękit morski. Tuż obok mnie nad samą przepaścią przesuwała się bez szmeru młoda dama, zgrabna i wiotka, ubrana w elegancki kostium czarny. To nie zwykły typ turystki. Widziałem profil jej twarzy, nie klasycznej, lecz pięknej, cudne czarne oczy i matową białosć liców. Mijając okno obserwatorium rzuciła wzrokiem na pięknego Włocha i uśmiech twarz jej rozjaśnił. Widziałem to spojrzenie śmiałe, pieszczące, wabne... Trwało to jedną chwilę — odwróciła się i, dumnie unioślszy głowę, poczęła zstępować po schodach ze skały. Włoch rzucił jej spojrzenie zwycięzcy.

Zwróciłem się do wyjścia. Tłum żebraków otoczył mnie, piskliwymi głosy domagając się jałmużny. Poczęło się zciemniać. Nowy koloryt pejzażu, pełen wdzięku i jakiejś nieokreślonej słodyczy. Światła w Taorminie gasną, na niebo wpływa srebrny księżyc, srebrzyste blaski drżą wśród błękitu nieba i kąpią się w błękitno-szmaragdowym morzu. A dokoła cisza, cisza uroczna...

Nazajutrz rankiem zachwygam się wschodem słońca wśród ruin *Castello Saraceno*. O ósmej godzinie już słońce piecze nieznośnie, a ruchome kamyki z pod nóg wciąż uciekające, utrudniają wycieczkę.

U stóp zamku złociste wino pnie się wzdłuż skał. Wehodem przez wąskie wrota do zamku. Wiekowy odźwierny opowiada szeroko w narzęczu sycylijskiem o *saraceni* i pokazuje zwaliska cysterny. Podwórze wąskie, weisnięte w zręby ścian skalistych. Główna baszta zamkowa, *doujon*, zasypana w części gruzem, straciła swe kształty pierwotne. Drobną trawką i blade-liljowe kwiecie rośnie wśród kamieni i gruzu. Z galerjki cudowny widok na góry, doliny i morze. Powracamy inną drogą, bardziej zabezpieczoną od promieni słonecznych. Śród skalistych ścian znajduje wodozbiór: olbrzymia marmurowa czara, z ust dwóch głów marmurowych płynie źródło wód górskiej. Czarnookie dziewczęta, śpiewając i gwarząc wesoło, czerpią wodę glinianymi dzbankami. Kolumny i forma tego zbiornika świadczą o jego

parotysiacznem lat istnieniu. Po drodze wstępujemy do kościoła św. Katarzyny; oprowadza nas sympatyczne dziewczę o pięknych, nieziemskich oczach. Przy wyjściu spotykamy pięknego Włocha, marynarza. Przewodniczka nasza spiesźnie zwróciła się ku niemu, wyciągnęła dłoń na powitanie, w oczach jej palily się iskry szczęścia. Piękny Włoch rozmawiał z nią uprzejmie, uśmiechając się zwycięsko—jak i wczoraj. Taormiński „Turiddu”—pomyślałem sobie—wspomiamszy opowiadanie Vergi i operę Mascagniego.

Przez środek Taorminy na całej jej długości ciągnie się równa, szeroka dosyć ulica *Corso Umberto*. Parę hoteli, prymitywnie urządzone sklepy, klub robotniczy i zakłady cyrulików t. zw. *Salono*. Tutaj zbierają się próżniacze kółka ludzi, tu fabrykują się plotki miejskie. Na połowie drogi przez *Corso Umberto* wznosi się kościół, a mury z wieżycami rogatemi nadają mu pozór zamku. Naprzeciw starożytna fontanna, niewielka figura mitologicznego człowieka-byka („*Tauromenion*”) w ręce, do góry wzniesionej, trzyma krzyż bronzowy.

Aby się dostać do klasztoru *San Domenico* trzeba pielgrzymować przez brudne i wązkie zaułki. Nic tu już nie przypomina siedziby zakonników, mieszka tu stróż jeno, który nas informuje, iż wkrótce klasztor ten przerobiony zostanie na wspaniały hotel. Zaledwie kilka foliów pergaminowych czeka na rękę, która je ztąd zabierze i umieści w jakim muzeum lub witrynie antykwaryusza.

Trzynastoletni Salwatore ujmuje wiosła i w kolebiącej się łodzi płyniemy po morzu, przezornie trzymając się wybrzeża. Cudne groty, w promieniach słońca skąpane, umajone zielenią i ubarwione kwieciami—przypominają fragmenty obrazów Siemiradzkiego. Morze, marmur i sploty roślin. Znowu czuję błogość, cisza dokoła, błękitne fale liżą boki łodzi, słońce igra na falach i cisza, niezem niezmacona, działa na każdy nerw. Nieśmiertelne piękno przemawia do duszy swą nieśmiertelną treścią.

Po wrażeniach z Taorminy notatka o zjeździe orientalistów—przeskok może zbyt nagły, ale postaram się kontrast ten złagodzić, nie nużąc zbyt wielu czytelników poszczególną treścią specjalnych kwestyi, tam rozpatrywanych. Wszelkie zjazdy i kongresy, zwoływane w imię wyższych ogólnoludzkich celów stanowią przedsięwzięcie piękne i pożyteczne. Na kongresie orientalistów w Rzymie oprócz uczonych specjalistów przyjmowały udział—damy. Naturalnie nikt nie posądzi ich o udział w rozprawach naukowych; zgromadziły się ot tak dla zadosyćuczynienia kaprysowi, wnosząc do bądź co bądź suchej nieco atmosfery naukowej—trochę ciepła, zieleni i świeżości. Ze tam pewnie nie jeden uczony sarknął na tę innowację, to nie ulega wątpliwości. Wybitnie udział swój na zjeździe zaznaczyli Rumuni. Szereg rozpraw i artykułów w prasie poświęcony był do wodeniom o rzymskim pochodzeniu Rumunów; głównie działali w tym kierunku profesor Toczyńska z Bukaresztu i Sentor Ureka. Posiedzenia zjazdu zamknięte zostały w d. 15 października. Uroczystości zakończenia obrad trwały w ciągu dnia całego; złożyły się na nie: przedstawienie galowe w pałacu na Kapitolu, gdzie daną była sztuka hr. Hubernatisa, prezesa zjazdu; wieczorem urządzony był obiad, do którego zasiadło 600 osób, przybyłych na zjazd ze wszystkich części świata, nie wyłączając Chin i Japonji.

lg. Dąb.

## Kronika działalności kobiecej.

— Ministerium spraw wewnętrznych w Stuttgardzie mianowało panią Maryę Grünau, wdowę po inspektorze fabryk prochu—asystentką inspektora przemysłu. Pani Grünau pełniła dotychczas obowiązki sekretarki przy izbie panów w Stuttgardzie.

— Carmen Sylwa, królowa Rumuńska, wykonała libretto do opery p. t. „*Neaga*”, do której muzykę utworzył kompozytor szwedzki Hallström. Opera przedstawiona będzie w narodowym teatrze w Bukareszcie za kilka już tygodni, a słynna artystka śpiewaczka, pani Nuovina obejmie rolę tytułową.

— Pani Marja Günther-Brauer święciła w październiku swój 25-letni jubileusz pracy literackiej na polu piśmiennictwa, mianowicie dramatycznego. Datą jubileuszu był 19 października, w którym ongi zabawna farsa pani Günther, p. t. „*Mama musi wyjść za mąż*” przedstawiona została jako premiera w teatrze dworskim w Szwerinie. Autorka należy do tych szczęśliwych pisarek dla teatru, których sztuki utrzymują się długo na scenie, dzięki zapewne świeżym i nowym ideom, które w nich tętnią; między zagadnieniami zajmującymi umysł pani Günther niepoślednie miejsce ma i sprawa kobieca, której jubilatka służyła nieraz i żywym słowem i umiejętnym swem piórem.

— Księżna Wiszniewska, znana w szerokich kołach politycznych zagranicą, mianowicie w Paryżu ze swej gorliwej i entuzjastycznej działalności, na polu popierania idei ogólnego pokoju i rozbrojenia, zwróciła się obecnie do redaktorki pisma „*Hausfrauenzeitung*” w Berlinie, pani Liny Morgenstern z prośbą, wydrukowania w tym organie swym niewieściej, pisma, którego treść jest mniej więcej następująca: Stowarzyszenie kobiece „*Ligue des femmes pour le Désarmement internationale*” przedsięwzięło przychodzić z pomocą, nieszczęśliwym wdowom i sierotom pozostałym obecnie po stracie mężów i ojców w wojnie walecznych boerów z anglikami. Ponieważ Stowarzyszenie ma nie tylko na celu rozszerzanie myśli ogólnego rozbrojenia, ale i niesienia ulgi tym, którzy jeszcze w wieku naszym ponoszą skutki klęski wojennej, zatem zwraca się do szlachetnych serc kobiecych z prośbą o materialną pomoc dla nieszczęśliwych ofiar srożącej się wojny w Afryce. Składki z nazwiskami ofiarodawców nadsyłane być mają do przewodniczącej w Lidze kobiet ks. Wiszniewskiej w Paryżu; (rue du Debarcadere 7, bis. à Paris), dwiema przewodniczącą jest p. Marja Szeliga, członkami zarządu panie: Höpner, Testa, Fevrier de Marsy, Porteu, Meulemaus i dr. Helina Gaboriau. Pani Morgenstern przyrzekła komitetowi w odpowiedzi na jego prośbę, poparcie wśród kobiet niemieckich, których jest sporo członkami niemieckiej ligi pokoju oraz otworzyła w swym piśmie rubrykę dla zbierania składek na rzecz bohater-skich boerów. Trudno naturalnie nie przyznać, że myśl ks. Wiszniewskiej i jej współpracowniczek jest wzniosła i szlachetna, i że niezawodnie zbierze humanitarny plon ratunkowy, wśród tak bogatego i samodzielnego społeczeństwa jak francuzkie i nawet niemieckie, ale czy przyjęłaby się ta myśl np. u nas? Gdyby nas, poproszono o składki na trapiących wojną boerów, czy my byśmy mieli ochotę i zapas materialny na taką ofiarę? Zdaje mi się, że nie. Nawet śmiem twierdzić, że rozsełanie składek, aż tak daleko, byłoby dla nas nierozważnym zbytkiem miękkiego serca, kiedy tyle, tyle setek i tysięcy naszych własnych biedaków, tuż w oczach naszych ginie marnie w nierównym a codziennym boju życiowym, w wyjątkowo zaostrzonej walce ekonomicznej, pozostawiając więcej wdów i sierot bez chleba, niż podobno dotychczas Boerowie, posiadacze pięknej ziemi i bogatych żył złota. My od Boerów, od innych cudzoziemców, a nawet od naszych rodaków z zagranicy nie dostaniemy wsparcia dla naszej nędzy miejscowej, nie dostaniemy składek na nasze „*Towarzystwo opieki nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi, na nasze „Osady rolne, „Kolonie letnie” i „Ochronę księdza Siemca” dla chłopców z Powiśla; my musimy się liczyć z każdym groszem bardzo oszczędnie i mądrze, abyśmy czasem nie popadli w altruistyczne zaślepienia i nie goili obcych ran afrykańskich, kosztem i krzywdą naszych ofiar nędzy, głodu, upadku i zaniedbania moralnego. A tę równowagę współczucia, sumienną i obowiązkową, gorąco zalecam kobietom naszym, nie stosując tej przestrogi bynaj-*

mniej do rodaczek żyjących i działających na szerokiej arenie zagranicznej, do której warunków stosować się nieraz muszą i której idee ogólnoeuropejskie popierać im należy.

## Wiadomości z Hygieny i Medycyny.

MNIEMANE CHOROBY ZĄBKOWANIA U DZIECI.

według Doktora Hochsingera.

Od początku chyba świata, ludzie byli tego przekonania, że wyrzynanie się zębów u niemowlęcia może być powodem chorobliwych zaburzeń w ogólnym stanie jego zdrowia. Staroindyjska święta księga „*Athasvaveda*” zawiera w sobie formę zaklęcia używaną przeciwko objawom chorobowym które się przy wyrzynaniu pierwszych siekaczy u dzieci zawsze pojawiać mają. Jest to więc głęboko zakorzeniony przesąd nad którego zwalczaniem pracowali najznakomitsi lekarze chorób dziecięcych obecnego wieku. Wyniki tych najnowszych badań podajemy tu w krótkości czytelnikom naszym.

Wiadomo jest, że dziecko—z wyjątkiem bardzo nielicznych wypadków—z bezzębnymi szczękami na świat przychodzi, i że dopiero w siódmym miesiącu życia zaczynają się wyrzynać pierwsze zębki. Otóż szeroka publiczność zupełnie jest nieświadoma w jaki się to sposób odbywa. Powiada więc ona, że ząb wydostając się na zewnątrz uciska nerw, kość szczękową lub też działając, co wszystko w istocie zupełnie niema miejsca. Wyrzynanie się zębów jest zupełnie niewinnym procesem wzrostu, który na tem polega, że zarodek zęba, który już tkwi w szczęce nowonarodzonego dziecka rozrasta się, podczas kiedy otaczające go kości i tkanki miękkie stopniowo zanikają i wsysają się dopóty, dopóki nie powstaną w szczęce i w dziąśle te szpary, które dozwalały zębowi przedostać się na zewnątrz. Ząb rozrasta się w ten sam sposób, jak każda inna kość ludzkiego ciała; jego więc powstawanie nie może pociągać za sobą innych skutków dla rozwijającego się organizmu dziecięcego, jak rozwój każdej innej kości np. kości ręki lub nogi. Niezem więc nie można usprawiedliwić mniemania, jakoby dzieci zawsze chorować musiały w czasie ząbkowania, że ich narządy oddychania, obiegu krwi i trawienia wskutek ząbkowania chorobowym zmianom podlegać muszą.

Pomiędzy ludem a nawet i w bardziej wykształconych sferach mówi się zwykle o następujących pięciu rodzajach cierpień towarzyszących jakoby ząbkowaniu a mianowicie: 1) *Konwulsje*, 2) *Gorączka*, 3) *Kaszel*, 4) *Biegunka*, 5) *Wysypki*. Rozpatrzmy się w tych pięciu rodzajach chorób przypisywanych ząbkowaniu, czem one są właściwie.

Co do *konwulsji*, to w niemowlęctwie są one bardzo często spotykanym chorobowym objawem. Po większej części wszelkie choroby gorączkowe u niemowląt—wielkie cierpienia mózgu i nerwów również jak i choroba angielska (rachitis) jeżeli dotyka ona czaszki niemowlęcia pociągają za sobą konwulsje. Jeżeli więc chcemy dobać się właściwego powodu konwulsji u niemowląt, to przedewszystkiem należy się przekonać czy dziecko ma gorączkę—należy mu zmierzyć temperaturę. Wezwany wówczas lekarz rozpozna dopiero, czy ma tu do czynienia z chorobą nerwów czy mózgu. Wielkiej wagi jest tu rozpoznanie, czy dziecko nie cierpi na angielską chorobę, i czy nie ma przytem miękkiego ciemienia. Bo choroba angielska, która nieopisanie często wśród dzieci się spotyka najczęściej to wywołuje konwulsje. Rodzice, krewni, nianki, w ogóle wszyscy nieświadomi rzeczy, nie przypuszczają nawet jak często w czaszce ich pieszczołów istnieją od dawna objawy choroby angielskiej, chociaż na pozór w stanie ich zdrowia żadne nie zachodzą zmia-

ny chorobowe. Dopiero zawezwany w razie napadu konwulsji lekarz zbudławszy głowę dziecka znajduje w jej kościach miejsca, i wtedy dopiero jasnym się staje prawdziwy powód konwulsji. Angielska choroba więc powoduje najczęściej konwulsje—nie one jednak nie mają wspólnego z ząbkowaniem.

Wprawdzie choroba angielska wpływa również na opóźnienie wyrzynania się zębów u dzieci, ponieważ kości szczękowe są nią zarówno dotknięte jak i czaszka. Kiedy jednak widzimy, że dzieci u których wyrzynanie się zębów bardzo powoli idzie, dotknięte są konwulsjami, kładziemy je na karb ząbkowania, nie nie wiedząc o tem, że angielska choroba spowodowała zarówno opóźnienie się wzrostu zębów jak i pojawienie się konwulsji.

Konwulsje u ząbkujących dzieci mają więc zawsze inny powód niż proces wyrzynania się zębów.

Przejdźmy teraz do mniemanej gorączki ząbkowania.

Czemże jest ona w istocie? Jest to zwykle gorączkowa jakaś choroba, która przypadkowo wystąpiła w czasie wyrzynania się zębów u dziecka. W rzeczywistości źródłem tej jakoby gorączki ząbkowania, jest bądź to zapalenie migdałów, lub też jakieś cierpienie kiszek, grypa lub tak zwana pleśń.

Kiedy dziecko gorączkuje przy wyrzynaniu się zębów, trzeba doń sprowadzić lekarza, tak jak to zwykle czynimy. Nie mamy bowiem żadnej zasady twierdzić, że dziecko jest niespokojne, gorączkuje z powodu zębów. Zwykle taki jego stan spowodowany jest chorobą, która nie wspólnego niema z ząbkowaniem.

Nie wiele inaczej ma się rzecz z tak zwanym *kaszlem* od ząbkowania. W pierwszych dwóch latach życia dzieci nadzwyczaj są wrażliwe na zaziębienie i na zarażenie się katarem. Ssawicie zaś przy najłżejszym zakatarzeniu nosa lub gardła zaraz kaszle. Również jeżeli dorosła osoba w domu ma katar—niemowlę wkrótce dostaje kataru i kaszlu. Najczęściej zaś otoczenie na okoliczność tę weale nie zwraca uwagi, przypisując jedynie kaszel mającym się wyrznąć, wyrzynającym się, lub też już wyrzniętym ząbkom. Jeżeli z zaniedbanego w ten sposób kataru wywiąże się zapalenie oskrzeli lub płuc, nie rzadko słyszeć się daje podobnie niedorzeczne odezwanie się: „ząbki spadły na płuca”.

Toż samo powiedzieć możemy o mniemanych „biegunkach ząbkowania”. Są one zwykłymi katarami kiszek, które w wieku niemowlęcym a szczególnie też w cieplejszej porze roku bardzo zwykłym są zjawiskiem. Są one wynikiem złego lub nieodpowiedniego żywienia dziecka, ale nigdy nie można ich składać na karb ząbkowania.

Nie jednak niedorzeczniejszego w tej kwestyi nie wypowiedziano jak to, że przez ząbkowanie mogą być spowodowane *wysypki*. Nie wiemy nawet w jakibym sposobie zbijać to twierdzenie, bo trudno sobie wyobrazić, aby tworzący się w szczękach ząbek, który wyrzyna się przez dziąsło mógł spowodować wysypkę na skórze brzucha lub uda niemowlęcia. Rzecz zaś przedstawia się tu również jasno zupełnie. Skóra niemowlęcia jest bardzo wrażliwa i łatwo ulegająca wszelkiemu podrażnieniu. Zewnętrzne wpływy drażniącej natury albo też działanie drażniących substancji, któ-

re przez kanał pokarmowy a potem wskutek obieg krwi dostają się do skóry, spowodować mogą u dzieci wysypki.

Zdarza się to często w niemowlęctwie. Cóż więc dziwnego, że i to się trafić może, że choroba wysypkowa wypadnie właśnie w czasie okresu ząbkowania.

Tak samo rzecz się ma i z wielu innymi chorobami objawami, które często się pojawiają właśnie w wieku dziecięcym. Nieraz przecie składano już na karb ząbkowania zapalenie oczu lub też płynięcie ropy z nosa. Szczególniej też wyrzynanie się kłów czyli tak zwanych zębów ocznych przypisuje się działaniu wywołujące zapalenie oczu u niemowląt.

A jednakże obserwując uważnie dzieci w okresie ich ząbkowania, stwierdzić to musimy, że wyrzynanie się ząbków ze szczęk, w najłżejszy nawet sposób nie zakłóca stanu ich zdrowia. Nawet i owo ślinienie przypisywane już wyłącznie wyrzynaniu się zębów nie ma z tem nie wspólnego, tylko zwykłym jest zjawiskiem u wielu dzieci; rozpoczyna się ono w drugim a kończy w czwartym półroczu ich życia. Jest to jednak faktem, że od szóstego miesiąca życia dziecka aż do zupełnego wyrznięcia się wszystkich mlecznych jego zębów—wszystkie choroby pojawiające się w tym okresie przypisywane są ząbkowaniu, choć w istocie żadnego z niem związku niema.

Najczęściej zaś są to choroby spowodowane zaziębieniem, jako też choroby zakaźne lub też zaburzenia w trawieniu, które składamy na karb ząbkowania. Niestety błędne takie mniemanie nieraz oplakane za sobą pociąga skutki. W przekonaniu bowiem, że choroba ustanie po wyrznięciu się ząbka, nie wzywamy lekarza i narażamy dziecko na wielkie niebezpieczeństwo—każdy więc komu doła dziecka leży na sercu, niech porzuci niedorzeczne te przesady i niech posłucha następującej rady: „Wprawdzie bardzo jest wygodnie powiedzieć sobie, że nie potrzebuję weale zapobiegać dalszemu rozwojowi choroby dziecka, bo jest ona spowodowana tylko przez ząbkowanie; ciężko jest jednak zaradzić zakorzenionemu już złemu, kiedy minie odpowiednia dla leczenia pora”. Nieraz zdarzało mi się widzieć w praktyce inteligentne młode matki, które pozwalały się tumanić doświadczeniom niby niewiastom jako to: starym niankom, akuszerkom, które im plotły brednie o chorobach towarzyszących jakoby zawsze ząbkowaniu dzieci. Ażeby umiejętnie pielęgnować dziecko, trzeba przedewszystkiem ściśle się stosować do wskazówek jakie nam daje wiedza lekarska. Ażeby zaś utorować drogę światłu należy usunąć wszelkie przesady i brednie niedorzecznych bab! Laicy powinni wierzyć głosem kompetentnym, bo nigdy brak rozsądnej pieczy nad zdrowiem i życiem dziecka tak zgubnych za sobą nie pociąga skutków jak kiedy chodzi o zaniedbanie poczynającej się u niego choroby.

Często słyszymy również zdanie, że bardzo jest zbawiennym dla ułatwienia dzieciom wyrzynania się ząbków wtykać im do buzi przedmioty twarde, aby je gryzły szczękami. Wychodzi się tu mianowicie z tego punktu, że w ten sposób dziąsło staje się cieńszem i zęby z większą wyrzynają się łatwością. Mniemanie to jest również zupełnie błędne. Tworzący się ząb dopiero wtedy przebija dziąsło, kiedy jego koniec tak daleko się posunie, że już dziąsło samo się usuwa

przed wyrastającym zębem. Proces ten postępuje bardzo stopniowo nie sprawiając dziecku żadnego bólu, bo im ząb więcej wyrasta ze szczęki, tem pokrywające go dziąsło staje się cieńsze i coraz bledsze aż wreszcie krew przestaje dochodzić do owego miejsca przytykającego do końca zęba i zupełnie już cienka naówczas skórka zupełnie się wsysa.

Przy wyrzynaniu się zębów zachodzi więc wessanie się małych cząsteczek dziąsła pokrywających końce wyrzynających się koron zębów. Wtykanie dzieciom do buzi przedmiotów z kości słoniowej, korzenia fiołkowego jest z tego względu szkodliwe że emoktając je nabawiają się właśnie owego ślinienia. Po drugie zaś na porowatej powierzchni tych przedmiotów nagromadzają się resztki pokarmów i śliny, które ztamtąd dostają się do żołądka, gdzie powodują procesy fermentacji a więc kataru żołądka i kiszek. Nie jedna mniemana biegunka ząbkowania, zawsze zaś ślinienie ząbkujących dzieci spowodowane są używaniem owych środków ułatwiających jakoby wyrzynanie się ząbków u dzieci i one więc zupełnie winny być odrzucone!



## MYŚLI.

Nieszczęście nasze jest najdoskonalszą akademią, gdzie uczymy się mądrości i krzepimy się w uczuciu woli; jest ogniem czyszcącym wypiekającym nasze błędy stare i przygotowującym nas do nieba, jest tedy naszym szczęściem... Nie zasłużył na słodycz, kto nie kosztował gorzocy.  
Trentowski (Chowanna).

—o—

Niema położenia tak złego, któreby nie miało dobrej strony; każdy stan posiada swój punkt widzenia; potrzeba umieć stanąć na nim; nie jest to winą położenia, lecz naszą. O wiele więcej powinniśmy żałować siebie z powodu naszego usposobienia, aniżeli z powodu losu. Przypisujemy wypadkom winy z naszej tylko zgryźliwości pochodzące. Złe jest w nas samych, nie szukajmy go gdzieindziej. Daleko łatwiej nam jest przystosowywać się do rzeczy, aniżeli rzeczy do siebie przystosowywać.

Pani de Lambert.

—o—

Komu jest wiadomem, że wysokie jak wieże skały kredowe, napotykanne na wybrzeżach Anglii i wyspy Rugji, składają się z mikroskopijnych żyłatek, z których przybliżonego rachunku wypada, dziesięć milionów na funt kredy, kto wie, że żyłatka takie utworzyły rafa koralową, ten, podziwiając te cuda przyrody, czyż odważy się wątpić o wielkiej doniosłości małych rzeczy.  
S. Smiles.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: *Anna Maulever*. Powieść, przez Jotę. Przekład Z. S. Arkusz 1.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rs. 7 kop. 20; półrocznie rs. 3 kop. 60; kwartalnie rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska № 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartaln. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

**Treść:** *Ś. p. Arcybiskup-metropolita ks. Szymon Kozłowski.*—Piotr Chmielowski. *Nasza krytyka literacka* w w. XIX-ym (dalszy ciąg).—*Rozwój pojęciowy dziecka*, przez J. Moszczeńską. — Wiktor Gomulicki. *Wierszyki.* — *Bez duszy*, powieść przez Cecylję Walewską (dalszy ciąg) — *Wystawa szkolna*, przez Jerzego Orwicza. — *Korespondencja z Włoch*, przez Ig. Dąb. — *Kronika działalności kobiecej.* — *Wiadomości z Hygieny i Medycyny.* — *Myśli.* **Dołączka obejmuje:** *Anna Maulever*, powieść przez Jotę. Przekład Z. S. Arkusz 1. — Przegląd mód 31 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.



## KORESPONDENCA PARYŻKA.

## Przegląd Mód.

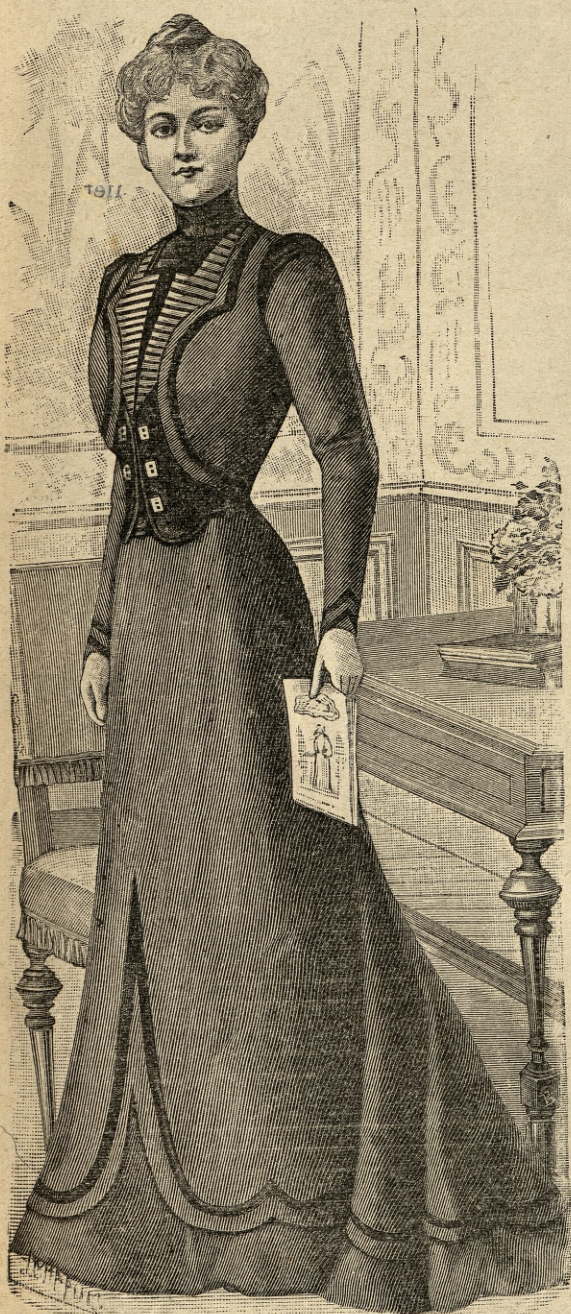
Paryż, dnia 2 Grudnia.

Gdyby Sz. czytelniczki „Bluszcza” mogły widzieć owe tłumy strojnych paryżanek śledzących objawy mody po magazynach i wystawach sklepowych, z pewnością zawołały by z niejednym obserwatorem lub myślicielem co to będzie! co to będzie? Wykrzyknik ten łatwo zrozumieć, kto wie co to jest zmienność mody paryskiej. Lada kaprys pięknej pani lub zazdrość współzawodniczących krawców, stwarza nowy typ w stroju, rujnując całe dziesiątki tysięcy osób. Doprawdy sędzić przecież należy iż coraz większy zdrowy rozum kobiet winien podobnie zdrożnej fantazyi. Ze wyrażenie „zdrożnym” nie jest przesadzone zgola, dosyć jest przytoczyć pewne fakta. I tak np. kiedy moda upowszechniła z trudem fason obcisłych sukien, kiedy wreszcie od Paryża do Petersburga i za Oceanem setki tysięcy lokci najdroższych materyałów na owe pochwy do parasoli jakimi są nowe dzisiejsze suknie, aliści nagle zjawiają się spódnice w zupełnie odmiennym stylu spódnice w fałdy układane. Kiedy noszenie długich sakowo męskich paltotów stało się zupełnie powszechnie przyjętym, aliści w tejże prawie chwili uastaje w nich zmiana i to nieomal radykalna gdyż zamiast gładkich pleców mamy plecy spięte na wąską patkę. Z wązkiemi, na biodrach obcisłemi spódnicami rywalizująca obecnie nowa „spódnica-tunika”, wprawdzie też jest na przodzie i na biodrach gładka, lecz z tyłu ma luźno spadającą część ułożoną w kontrafałdę, która na bokach przesyta bywa sztebankiem, do wizytowych zaś toalet tworzy tren. Ta forma spódnicy noszona jest szczególnie przez mężatki, dla młodych pań poniżej paska przestebnowuje się 20 cent. głębokie wąziutkie fałdeczki, które ku dołowi swobodnie spadają; gdy spódniczka jest w formie tuniki—musi być na fałszywej spódniczce, która u dołu oszyta jest falbankami, na górnym brzegu 7 cent. szerokim tak jak spódniczka w drobniutkie fałdeczki przestebnowanym. Przy gładkich u góry spódniczkach układa się falbankę pojedynczo, lub okrągło. Do spódnic, które prawie zawsze luźno na spodniej sukni spadają twardy podkład jest używany, fałdy układają się miękko, niewymuszenie, ich elegancya zależy tylko od dokładnego, dobrego kroju spódnicy. Często oszywa się spodnią spódniczkę, o ile jest widoczną aksamitem, który ze wszystkiemi wehianiami i jedwabniami

parę ciepłych trykotowych rękawiczek. Bardzo interesujące nowości widziałam w wizytowych i balowych toaletach, którym w następnym numerze poświęcę osobną pogawędkę. Nadmieniam tylko, że bolero-kaftaniczki bez rękawów z aksamitu i jedwabiu ozdobione bogatym aplikacyjnym lub innym haftem, wyszyciem i pasmanterją—bardzo są noszone do wizytowych lub koncertowych toalet. Także staniczki układane w gęste poprzeczne fałdki służą do tego samego celu. Do eleganckich wieczorowych toalet prócz innych przybrań używa się także malowanie. Czarujące są kunsztownym wykończeniem kwiaty jabłoni, irysów, fiołkowych i t. p. na wonnej gazy i na lśniącym białym, różowym, niebieskim i heliotropowym taffet. Harmonizują z tem zęby, falbanki z tiulu i gazy; można sobie łatwo przedstawić, jak wspaniale wyglądają takie toalety przy jasnych promieniach światła.

W końcu wypada jeszcze wspomnieć o tak lubianych jasnych różowych, niebieskich, zielonawych lub żółtych wspaniałych toaletach z crêpe de chine, które z pewnością będą się cieszyły stałym powodzeniem.

L. S.



№ 3. Suknia ze sukna dla pań w średnim wieku.



№ 1. Sakpalto dla młodych pań. (Kroj i opis odwr. str. tabl. № X. Fig. 97—100).

№ 2. Obcisły zakieciak przybrany sznureczkiem i futerkiem. (Opis odwr. str. tabl.).

materjalami harmonizuje. Do przybrania eleganckich zimowych toalet używają tutaj rozmaite futerka szczególnie Chinchilla, baranki astrachańskie, karakuly i sobole, dla młodych pań także bobry i króliki. Dalej frandzle, pasmanterje, stebenek i haft rozmaitego rodzaju. Im więcej tutejsze damy rozwijają swój osobisty gust i w użycie wprowadzają tem mniej hołdują ślepo modzie, i jej śmiałym wybrykom. Tak np. treny, które z początkiem sezonu były przez modę zalecone na ulicę, obecnie są zupełnie zaniechane i jedynie w domu do toalet wizytowych cieszą się powodzeniem. Fakta mówią za siebie. Na suknie spacerowe bywają używane jasne pastelowe kolory, również przejściowe i ciemne, materjały w dobrym gatunku szczególnie sukno, zibelina i aksamit. Angielskie kostjomy pozostają wszechwładne, choć stosownie do pogody uzupełniane bywają pelerynami, zakieciakami i płaszczami. Bolero-kaftanik jest niewątpliwie ulubionem dziecięciem mody, ale w tak różnorodnych odmianach, że do każdego wieku może być zastosowanym. Suknie „princesse” są bardzo stosowane dla wysmukłych figurek; robi się je często z głębokim wycięciem, które się podkłada kamizelką z jasno cieniowanego jedwabiu, aksamitu i t. p. Kamizelki w wązkie, poziome, przez stebnowane fałdki są bardzo modne. Do toalet wizytowych używają się kamizelki z jasnego jedwabiu zdobi się je zębami, lub małemi tegoż koloru bufkami z gazy. Suknie „princesse” z sukna zakończają się często z boku trzema rozetami z gazy, lub kokardami z czarnej aksamitk w stylu Ludwika XV.

Młode dziewczynki noszą na ulicę prawie bez wyjątku kótkie paltociki przybrane futerkami, i mocno stebnowane. Dla pensjonarek wprowadzono tu bardzo praktyczne długie płaszczyki z kołnierzami, jak również miękkie pelerynki z materjału double face z kapiszonami. Starsze panie noszą do kolan płaszcze i peleryny, a także paltoty na ładnej jedwabnej podszewce ozdobione stebnkiem, pasmanterją, aksamitem, futerkiem i t. p. Takie płaszcze mają przeważnie duże wyłogi futrem wyłożone i „Medicis” kołnierze. Śliczne toczki, malownicze, miękkie berety, jak również rozmaite formy kapeluszy Empire robią się z aksamitu, fantazyjnej plecionki, filcu ozdabiane sutemi rozetami z szerokiej jedwabnej wstążki, aksamitu, gazy, strusiami i fantazyjnymi piórami, skrzydełkami i rajerami. Dla młodych pań stosowane są formy bolero i marynarskie z filcu w kolorach popielatym, granatowym, brązowym i czarnym, przybrane tegoż koloru aksamitem. Buciki noszą tu w zimie czarne, nie są one tak szpiczaste, jak dawniejsze, mają noski zaokrąglane i angielskie obcasy. Rękawiczki używają się w jasnych kolorach, cieniutka Chevreux i miękka wenecka skórka na chłodne zimowe dni jest niestosowną, na skórkowe rękawiczki paryżanki wciągają jeszcze często drugą



№ 4. Suknia angielska z aksamitną kamizelką. (Kroj i opis odwr. str. tabl. № IX. Fig. 87—96).



№ 6. Płaszczek dla dziewczynki od 7—8 lat.

Suknia ze sukna.  
Rycina № 3.

Śliczna suknia z ciemno niebieskiego sukna składa się ze spódniczki spadającej w formie tuniki na spodnią spódniczkę z falbaną; u dołu wycięta jest w zęby i oszyta plisną ze skośnego niebieskiego aksamitu. Staniczek z przodu i z tyłu wycięty w zęby, oszyty plisną aksamitną. Część kamizelki u dołu aksamitna ze złotymi guziczkami, u góry ze sukna naszyta aksamitkami, z pod której widoczną jest jeszcze aksamitna szmizetka z takim że stojącym kołnierzykiem. Rękawy ogarniowane u dołu i przy ramionach aksamitem.

№ 5. Kapelusz dla dziewczynki od 7—8 lat.

№ 7. Płaszczek zimowy.

Kapelusz i płaszczek dla dziewczynki 7—8 lat.

Rycina 5 i 6.

Rycina 5 przedstawia kapelusik z ciemno różowego aksamitu układanego w bufki i fałdy na dużym rondku, a z pod spodu z ruszką z czarnego aksamitu. Jasno różowe strusie pióro i rozeta z tegoż koloru tuffet zdobią kapelusik.

Bardzo zręcznym jest płaszczek przedstawiony na ryc. 6 z pastelowego koloru sukna, z przodu ma głęboką podwójną fałdę, po obydwóch stronach której znajdują się patki oszyte wązikiem aksamitem, i ozdobione guzikami z perłowej masy. Z tyłu kapiszon podbity aksamitem, układa się w szerokie fałdki.

Płaszczek zimowy.

Rycina № 7.

Płaszczek z szaro niebieskiego sukna zapinany na koniki i haftki i ozdobiony guzikami z perłowej masy — robi wrażenie sukni spacerowej; u dołu ozdobiony jest stebenkiem u zęby a na przodzie w proste linje. Kamizelka z szaro-niebieskiego aksamitu, z tyłu tworzy rodzaj kołnierzyka, a z przodu w formie zęba dochodzi do stanu, na ramionach rodzaj epoletek oszytych futerkiem. Tak samo oszyty jest duży kołnier z aksamitu. Rękawy przy rękę w formie kielicha zdobi stebenek.

**Modne kapelusze i kołnierze.**

Rycina № 8 i 9.

Milutki jest kapelusik i stosowny dla młodych pań przedstawiony na rycina 8. Jest z ponsowego aksamitu, haftowany perelkami i sznurkami i oszyty futerkiem ze skunksów.

Dla młodych pań ślicznym jest kapelusik z żółto-brunatnego fileu, którego główka i rondko oszyte jest dość szeroką z ciemnego aksamitu plisną. Przybranie stanowi tegoż koloru jedwabna szarfa, która z jednej strony tworzy rozetę, a drugim końcem z frendzlą spada na rondko. Ładna emalowana klamerka w stylu rococo i strusie pióra zdobią kapelusik.

**Ubranie wizytowe z gładkiego i w paski welwetu.**

Rycina № 10.

Czarny welwet w połączeniu z białym w czarne paski jest w tym roku bardzo modnym. Nasza rycina przedstawia też suknię wizytową składającą się ze spódniczki gładkiej welwetowej, na którą spada w ząb wycięta tunika z białego welwetu w czarne pasy. Staniczek gładki welwetowy ozdobiony z perłowej masy guzikami, na niego za-



a b

d

№ 11. Suknia z kaszmiru. (do tego szkicu a i b). (Opis pierw. str. tabl.).

№ 12. Sfal-dowanym.

№ 13. Suknia ze spódniczką w rodzaju tuniki. (do tego szkicu c i d).

chodzi bolerek z przodu spiczasto zakończony z tyłu zaokrąglony z welwetu w paski z długimi rękawami i z wykładanym kołnierzem z białego jedwabiu, haftowanego perelkami, takż sam wysoki stojący kołnier. Pasek z białego jedwabiu ozdobiony klamerką z perłowej masy. Stosowny do tego kostjum jest kapelusik z czarnego jedwabnego fileu, z główką w formie cylindra i rondkiem wygiętym podbitem białym aksamitem ułożonym w miękkie pukle. Czarne i białe strusie pióra i klamerka z perłowej masy zdobią kapelusik.

**Suknia z fałdowanym stanikiem i przybraniem z falban.**

Rycina № 12.

Suknia z miękiego jedwabiu pastelowego różowego koloru składa się ze spódniczki oszytej falbankami w formie wyciętej w ząb tuniki, naszytymi rolkami z ciemniejszej aksamitki staniczek ułożony w poprzeczne fałdy zdobi też falbanka naszyta rolkami, kamizelka przybrana zakładczkami i aksamitkami, toż samo stojący kołnierzyk. Rękawy u góry ozdobione zakładczkami i aksamitkami — u dołu wycięte w szpic i ogarniowane plisowaną falbanką.



№ 11. Suknia z kaszmiru (do tego szkicu a i b).

№ 12. Suknia z fałdowanym stanikiem i przybraniem z falban.

№ 13. Suknia ze spódniczką w rodzaju tuniki.

№ 14. Suknia przybrana aksamitkami i frendzlą.

№ 8. Modny kapelusik i kołnier.

**Suknia ze spódniczką w rodzaju tuniki.**

[ Rycina № 13.

Bardzo dystygowana jest toaleta z czarnego sukna ze spódniczką w rodzaju tuniki, przybrana przestębnowanym jasno zielonym aksamitem. Oryginalnym jest staniczek ozdobiony takim że aksamitem przestębnowanym, można go nosić otwartym i zapiętym, jak to widoczne na szkicu d. Na głównej rycinie widzimy otwarty staniczek z wyłogami bogato haftowanymi jedwabiem sznelką i kamizelką z jasno zielonego aksamitu, ułożoną w żabot. Szeroki mediejs kołnier przybrany zewnątrz aksamitem wewnątrz haftowanym aksamitem ozdobiony jest pasanteryjnymi guziczkami. Rękawy przy rękę przybrane też stebnowaniem.

№ 9. Modny filowy kapelusik przybrany piórami.

№ 10. Toaleta wizytowa z gładkiego i w pasy welwetu.

**Suknia przybrana aksamitkami i frendzlą.**

Rycina № 14.

Suknia z szaro-zielonego sukna przybrana rolkami z ciemnego aksamitu i wąską jedwabną frendzlą, co łącznie z przybraniem kremowemi zębami stanowi śliczną całość. Spódniczka ze sukna tworzy u dołu głębokie zęby naszyte rolkami z aksamitu i oszyte jedwabną frendzlą. Z pod zębów widoczna jest falbanka w ten sam sposób ogarniowana. Wąski aksamitny pasek z matowo-złotą klamerką obcisła talję. Bluzkowy staniczek na przodzie wycięty w zęby, przybrany aksamitem i frendzlą na kamizelkę z plisowanego batystu i gipiury. Rękawy przy rękę w ząb wycięte oszyte frendzlą i rolkami. Duży kołnier batystowy z gipiurą zakończy tę śliczną toaletę.

**Serweta na umywałkę i ręcznik ozdobione szlakiem krzyżkowym.**

Rycina № 25 i 26.

Dla ochrony marmurowego blatu od umywałki bardzo jest praktyczną serwetka ozdobiona wyszyciem ścięciem krzyżkowym przedstawiona na ryc. 25; jest ona z kremowej, mocnej Aida tkaniny 88 cent. dł. 58 cent. szer. naokoło wązietko obrabiona i obdziergana kolorową przedzą. Deseu wyszycy jest przedzą w dwóch kolorach. Ręcznik który widzimy na ryc. 26 z cienkiego białego Aida materiału 100 cent. długi 72 cent. szer., z 2 cent. szer. obrabieniem ozdobionym jest szerokim wyszyciem ścięciem krzyżkowym. Na wyszycie używa się cienką krętą przedzą, która swoim blaskiem nie wiele się różni od jedwabiu.

### Rozmaite przyrządy do piśmiennego stołu i futerałik pince-nez.

Rycina № 27—30.

Podkładka na piśmienny stół składa się 38 cent. długiej 31 cent. szerokiej serwetki z ciemno-zielonego sukna wyciętej naokoło w ząbki; do sukna przyklejona jest płatka na bibułę i skrytka na papier listowy; serwetka ozdobiona jest naokoło ślicznym łatwym wyszyciem brązowo-żółtym jedwabiem.

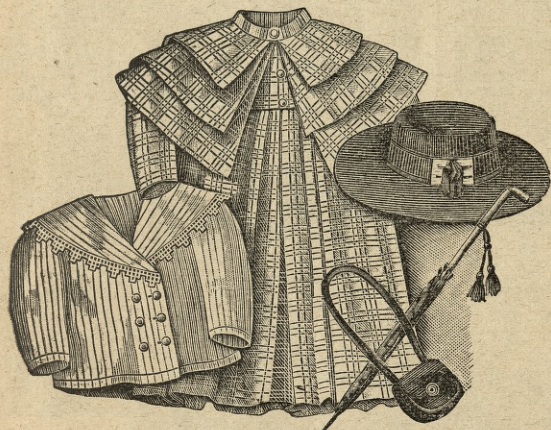
Bardzo pożyteczną jest podstawa na stalówki igły i t. d. w kształcie pantofelka, wyrobiona z drzewa, jest przyklejona do małej 9 cent. długiej w ząbki wyciętej serwetki z białego filcowego materiału, przy-mocowanej do drugiej 14 cent. długiej 9 cent. szer. serwetki z zielonego filcu. Zieloną serwetkę zdobią na rogach małe figurki wyszycie jedwabiem kolorowym, białą zaś 1 cent. duże z zielonego sukna naklejone ozdoby.

Bardzo miły podarek stanowi nóż do przecinania papieru ze stali formą sztyletu, z rączką ze słoniowej kości, w pochwie z brunatnej skórki, wyszycie łatwym ściem-jem jasnym jedwabiem.

Również praktycznym jest futerałik na pince-nez z żółtej skórki, który można z łatwością zrobić z kolorowego sukna. Wykrawa się dwie części, wycina delikatnie ząbki, na jednej części wyszywa się kolo-



№ 15. Lalka w sukience empire. № 16. Lalka w kostjumie do jazdy na bcyklu. (Krój i opis pierw. str. tab. Fig. 49—64). (Krój i opis pierw. str. tab. Fig. 49—64).



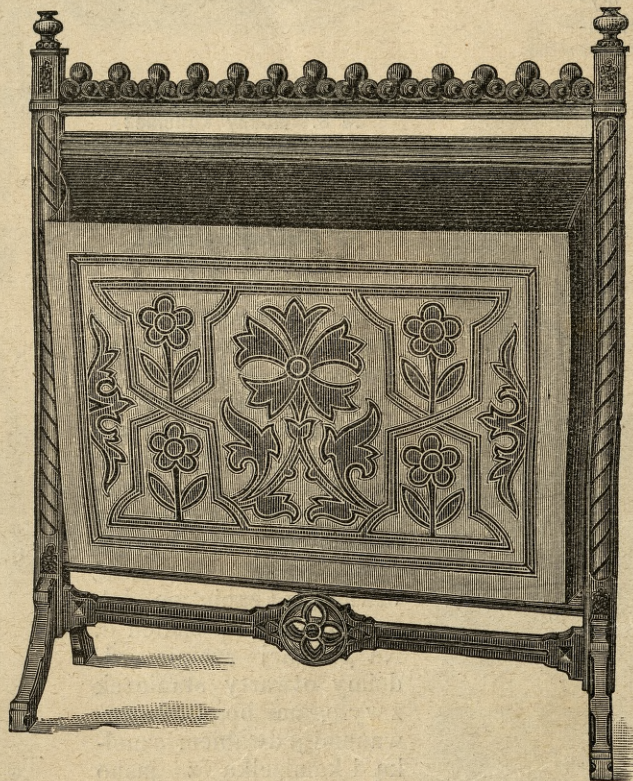
№ 20—24. Kaftanik, płaszczyk, kapelus, parasolka i sacvoyage dla lalek. (Krój i opis odwr. str. tab. Fig. 131—138).

rowym jedwabiem deseń, podkłada atlasową podszewkę i zeszywa razem, pozostawiając otwór na włożenie pince-nez.

### Podstawa z teką ozdobioną haftem.

Rycina № 31.

Ładna ta podstawa 112 cent. wysoka, 90 cent. z drzewa nadaje się przeważnie do pokoju panów. Jak to widoczne na rycinie wprawona jest w nią teka przeznaczona na układanie dużych obrazów, aktów i t. d. Wysokość tylnej ściany z mocnego



№ 31. Podstawa z teką ozdobioną haftem.



№ 17—19. Sukienka marynarska, czapeczka i fartuszek dla lalek.

(Krój i opis odwr. str. tab. Fig. 119—130).



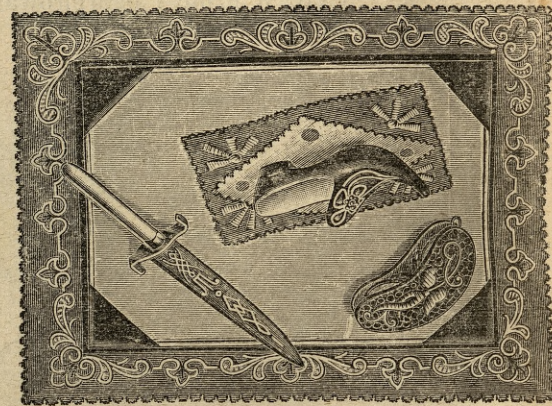
№ 25 i 26. Serwetka na umywalkę i ręcznik ze szlakiem krzyżkowym ścięciem.

kartonu obciągniętego ciemno-ponso-wym suknem—wynosi 60 cent., szerokość 80 cent. podczas gdy szar-niebieskim suknem obciągnięta przed-nia ściana teki jest 75 cent. szeroka 54 cent. wysoka. Części łączące obie ściany teki 15 cent. szerokie zewnątrz obciągnięte ciemno-ponsowym suk-nem, wewnątrz tegoż koloru satynką zro-bione są z cienkiego kartonu.

Ozdobę teki stanowi wyszycie appli-kacją filozelą jedwabną i złotą nitką.

### SOS GŁOGOWY.

Suszony głóg rozgotować w rosole i przez durszlak przetrzeć. Kwaśną śmietaną rozbić, wlać głóg na śmie-taną. Osobno w rondlu zasmarzyć masło z mąką i tak przyprawionym głogiem rozrobić, soli i cukru dodać do smaku, żółtkami zaprawić a na sa-mem wydaniu wlać kieliszek węgier-skiego wina.



№ 27—30. Rozmaite przyrządy do piśmiennego stołu i futerał na pince-nez.

### BUDYN ZE ŚMIETANKI.

Kwartę śmietanki 8 jaj całych, 4 łyżek mąki, cukru mialkiego ćwierć funta i tro-chę wanilii zmieszać doskonale, wlać w for-mę masłem wysmarowaną lub w serwetę, gotować godzinę i wydać na leguminę po-dając z sokiem.

### Obiad na Niedziele.

1. Zupa neapolitańska.
2. Majonez z ryb.
3. Rozbef po angielsku.
4. Szpinak z omletem.
5. Kwieczoły z kompotem.
6. Budyń z szodnem.